



***GILL SANDERSON***



***Siódma córka***

## ***ROZDZIAŁ PIERWSZY***

Zdarzało się to tylko czasami, ale właśnie dlatego było bardziej bolesne. A kiedy już się zdarzyło, Delyth nigdy się nie myliła. Teraz również miała całkowitą pewność, że młody chłopak, który leży w łóżku naprzeciwko niej, jest poważnie chory.

Przed północą zadzwoniono do niej z oddziału nagłych wypadków i poproszono o przyjęcie go na chirurgię. Twierdził, że nazywa się Birdie Jones i że potracił go samochód, którego kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Był jednym z wielu bezdomnych włóczęgów, którzy tułali się po ulicach Londynu. Oprócz zadrapań, siniaków i wstrząsu pourazowego miał też złamaną rękę.

Lekarz dyżurny zapewnił Delyth przez telefon, że życiu chłopaka nic nie zagraża. Poinformował ją, że założono mu gips i kilka opatrunków. Poprosił, by zatrzymała go przez parę dni na obserwację.

Szpital, w którym pracowała, mieścił się w centrum Londynu. Wiele razy powtarzano jej, że służba zdrowia zapewnia jedynie opiekę medyczną, gdyż nie dysponuje funduszami na rozwiązywanie problemów społecznych. Wiedziała, że takie podejście do sprawy - choć okrutne - jest jedynym możliwym.

Teraz młody Birdie znajduje się pod jej opieką. Chociaż jest chudy, nie jest niedożywiony. Wszystko wydaje się w normie.

A jednak owo straszne poczucie wewnętrznej pewności omal nie zważyło jej z nóg: wiedziała, że Birdie jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jeszcze raz przejrzała wszystkie notatki i wyniki badań - czyżby coś przeoczyła? Nic na to nie wskazywało.

Zrobiła dyplom bardzo niedawno i była młodszą lekarką, dopiero u progu kariery. W razie wątpliwości powinna poprosić o konsultację starszego lekarza, Jamesa Owena. Tylko że on był na nogach przez cały dzień, od szóstej rano. Obawiała się, że nie będzie zachwycony, jeśli obudzi go w środku nocy.

Dotychczas nie miała z nim osobiście do czynienia. Przez ostatnie dwa tygodnie bawił za granicą na jakiejś konferencji, a dziś rano mignął jej tylko w oddali jego rozwiany fartuch. On sam miał zwyczaj przemierzać korytarz z błyskawiczną prędkością, krokiem sprężystym i zdecydowanym. Sprawiał wrażenie człowieka rzeczowego, energicznego, mocno stojącego na ziemi, który nie będzie tolerował jakichś wyssanych z palca przeczuć i bezpodstawnych domysłów. Ciężko westchnęła.

Mówiono jej, że wielką pomocą mogą być dla niej starsze pielęgniarki, zwróciła się więc do Sue Ashton, pielęgniarki nadzorującej nocną zmianę, i spytała ją o doktora Owena.

- Jest cudowny - odparła Sue z miłym uśmiechem. - Wysoki, szczupły, z ciemnymi włosami. Świetny lekarz, tyle że jakby... nawiedzony. Muszę przyznać, że trochę się go boję. Mówisz, że chcesz go wyrwać z łóżka? Mam nadzieję, że nie bez powodu...

Im dłużej Delyth o tym myślała, tym większej nabierała pewności, że Birdiemu grozi niebezpieczeństwo. Niech się dzieje, co chce, musi zadzwonić do Jamesa Owena.

- Trudno, najwyżej go obudzę - powiedziała w końcu. - Mogę skorzystać z twojego telefonu?

Nie zdążyła się nawet odezwać, gdy w podniesionej niemal od razu słuchawce usłyszała męski głos:

- Młodsza lekarka Delyth Price, czyż nie tak? Doktor Price, rozmawia pani z bardzo zmęczonym człowiekiem, a w dodatku jest on nagi i mokry, bo właśnie wyszedł spod prysznic, i trzyma w ręku szklanekę whisky. I właśnie zamierzał pójść do łóżka, więc mam nadzieję, że to coś ważnego.

Spodobał jej się ten niski głos, urzekło ją poczucie humoru. Na razie nie jest na nią wściekły.

Ponownie ogarnęło ją to straszne przeczucie. Wiedziała, że się nie myli. Ale jak to wytłumaczyć doktorowi Owenowi?

- Niedawno przyjąłem pewnego młodego człowieka. Ogólnie poobijany, ze złamaną kością promieniową. Ofiara wypadku drogowego. Zostaje u nas na obserwację.

- Jakie badania pani zaleciła? Opisała wszystko ze szczegółami.

- I nie ma żadnych niepokojących objawów? A zatem czemu pani do mnie dzwoni?

- Bo najwyraźniej musiałam coś przeoczyć, tylko nie wiem co. No więc zadzwoniłam do pana.

- Przypominam, że jest już pani lekarzem. Niektóre decyzje musi pani podejmować samodzielnie. Nie można w nieskończoność prowadzić pani za rączkę.

W jego głosie pobrzmiewała surowość, ale wciąż jeszcze nie złość.

- Podjęłam decyzję: zatelefonowałam do pana.

- Wobec tego będę za dziesięć minut.

Oddział chirurgii znajdował się na trzecim piętrze, toteż Delyth stanęła przy wejściu, oczekując odgłosu jadącej w górę windy.

Zamiast tego jednak usłyszała odgłos szybkich kroków na schodach. W półmroku korytarza zamajaczył rozpięty biały fartuch, a pod nim biała koszulka i dżinsy.

James Owen miał wysportowaną sylwetkę i poruszał się zwinnie. Nie był ani odrobinę zdyszany. Wprawdzie nie uśmiechnął się do niej, ale na jego twarzy nie było też wyrazu irytacji. Otaksował ją wzrokiem, a wówczas dzięki swej nieomyślnej intuicji wyczuła, że człowiek ten wpłynie na jej przyszłość. Jej życie i życie tego mężczyzny miały się z sobą spleść.

Ze zdziwieniem poczuła, że bardzo jej zależy na jego opinii, i to nie tylko w sensie profesjonalnym. Nawet ze swym skromnie zaplecionym warkoczem chciała mu się podobać, chciała, żeby ją... polubił. Nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie wzbudził w niej podobnych uczuć tak od razu, od pierwszego spotkania.

- Mogę w ogóle nie spać - zapewnił ją półżartem. - No więc co my tu mamy? - Wyciągnął do niej rękę. - Przykro mi, że nie spotkaliśmy się rano. Nazywam się James Owen. Nie jesteśmy w obecności pacjentów, więc najlepiej mówmy sobie po imieniu. Mam nadzieję, że będzie nam się dobrze pracować.

- Na pewno - odparła cicho. Sposób, w jaki uścisnął jej dłoń, przyprawił ją o miłe drżenie.

- Założę się, że jesteś z Walii, prawda?

- Owszem. Ale nietrudno zgadnąć, jeśli zna się moje imię i nazwisko.

- To prawda. Lekarze jednak nigdy nie powinni ufać temu, co wydaje się z pozoru oczywiste. Jeśli istnieje coś takiego jak celtycki typ urody, jesteś jego uosobieniem.

Mogłoby się to przerodzić w interesującą konwersację, pomyślała, ale w tej samej chwili James zmienił temat:

- Chodźmy obejrzyć tego młodego człowieka. - Słowom tym towarzyszyło stłumione ziewnięcie.

Gdy szli korytarzem, wręczyła mu kartę Birdiego i raz jeszcze opowiedziała o wszystkich badaniach i spostrzeżeniach.

- Zrobiłaś wszystko, co do ciebie należało - oświadczył, wchodząc z nią do pokoju chorego. - A w wynikach badań nie znajduję nic niepokojącego. Więc co cię skłoniło do tego, żeby do mnie zadzwonić?

- Musiałam czegoś nie zauważyć. Jestem tego pewna. Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- No dobrze - rzekł wreszcie, wzruszając ramionami. - Zbadam go.

Jednak badanie nie przyniosło nic nowego - wszystko wskazywało na to, że życiu Birdiego nic nie zagraża.

- Chodźmy na kawę do pokoju lekarzy - zaproponował James, ostatni raz rzuciwszy okiem na pogrążonego we śnie pacjenta.

Delyth naląka kawę do kubków.

- Nie było potrzeby mnie wzywać - stwierdził bez pretensji w głosie. - Oczywiście nie można do końca wykluczyć, że coś jest nie tak, ale nic na to nie wskazuje. Szczerze mówiąc, troszkę mnie zaskoczyłaś. Nie wyglądasz na osobę, która wpada w panikę i bez potrzeby prosi o pomoc. Wydajesz się kompetentna i całkiem pewna siebie.

Pochlebna opinia mile polechtała jej próżność, ale to nie rozwiązywało sprawy. Nadal była przekonana, że chłopakowi coś zagraża, tyle że nie umiała przekonać o tym Jamesa.

- Przepraszam, tak mi przykro - rzekła półgłosem.

- Nie ma za co przepraszać, zrobiłaś to, co uważałaś za słuszne. - Ziewnął przeciągle. - Pamiętaj, że w razie czego możesz na mnie liczyć. A teraz dobranoc.

I tym razem nie skorzystał z windy. Patrzyła przez okno, jak szybkim krokiem przemierza dziedziniec. Odwrócił głowę i spojrzał w górę, a potem pomachał jej ręką na pożegnanie. Odwzajemniając ten gest, poczuła, że się czerwieni.

- No i co, zbeształ cię? - spytała Sue, gdy Delyth opadła obok niej na fotel.

- Nie. Zniósł wszystko bardzo dobrze. Ale okazało się, że się myliłam.

- I nie miał do ciebie pretensji?

- Chyba nie. A może był zbyt zmęczony, żeby to okazać.

- On nigdy nie jest zbyt zmęczony, żeby zrobić lub powiedzieć to, co chce. Przystojniak z niego, nie?

- Tak - odparła krótko Delyth, myśląc o czym innym.

Oczywiście nie życzyła źle Birdiemu, ale wolałaby, żeby James jednak dopatrył się czegoś niepokojącego - wtedy miałby o niej lepsze zdanie... Zajęła się jakąś papierkową robotą, a potem próbowała się zdrzemnąć w pokoju lekarzy. W regularnych odstępach czasu zaglądała do Birdiego.

Kryzys nastąpił o czwartej piętnaście: ciśnienie krwi nagle dramatycznie się obniżyło.

- Jeśli ty nie wezwiesz lekarza, sama to zrobię - powiedziała Sue, potwierdzając jej spostrzeżenia.

Toteż Delyth zadzwoniła jeszcze raz.

- W porządku - odparł James przytomnie. - Załatw salę i anestezjologa i przygotuj go do operacji. Będę za pięć minut.

Razem poszli do pokoju Birdiego, gdzie James ponownie obmacał mu brzuch.

- Ukryty krwotok wewnętrzny może dość długo przebiegać bezobjawowo - stwierdził. - Czasem chory może stracić połowę objętości krwi, zanim da się zauważyć zmianę ciśnienia. Ten chłopak ma zapewne pękniętą śledzionę. Może powinniśmy byli zrobić laparotomię, ale, zgadzam się z tobą, nie było do tego żadnych podstaw. Zrobiłaś mu próbę krzyżową krwi?

- Tak, i już ją zamówiłam.

- To dobrze, pewnie będziemy jej potrzebować. A teraz chodź, wyszorujemy ręce.

Śledziona rzeczywiście była pęknięta i musieli ją usunąć. Delyth asystowała już przy tego rodzaju operacji, ale nigdy nie widziała, by przeprowadzano ją z taką szybkością. Gdy było po wszystkim, James przeciągnął się i szeroko ziewnął.

- Odwaliliśmy kawał dobrej roboty, więc chyba zasłużyliśmy na kawę.

Ściągając gumowe rękawiczki, poczuła, jak ogarnia ją przemożne zmęczenie.

- Oj tak, kawa dobrze mi robi.

Gdy byli już w pokoju lekarzy, nalał kawy do dwóch kubków i podał jej jeden.

- Mamy nie lada problem - oznajmił. - Według hierarchii zawodowej, to ja powinienem być ekspertem, ale tak się złożyło, że to ty zauważyłaś coś, co ja

przeoczyłem. Przez cały czas byłaś pewna, że jego życiu grozi niebezpieczeństwo, prawda? Nawet wtedy, gdy orzekłem, że tak nie jest.

- Rzeczywiście - przyznała skrepowana.

- Chcę wiedzieć, dlaczego i jakim cudem... - Urwał i palcem wskazującym uniósł jej podbródek. - Jesteś zbyt wyczerpana, żeby mi rozsądnie odpowiedzieć, co? Będziesz mogła się przespać jutro rano?

Spojrzała na niebo za oknem.

- Słońce już wzeszło, więc już jest jutro rano... Ale nie martw się, kiedy przyjdzie Matt Dee, będę mogła się położyć.

- Świetnie. Więc na razie nie będę cię dręczył pytaniami. Jeszcze do tego wrócimy... Byłaś już w klubie? Może spotkalibyśmy się tam dziś wieczorem? Około dziewiątej?

Mile ją zaskoczył tym nieoczekiwanym zaproszeniem.

- Dobrze, bardzo chętnie.

- No to się cieszę. A teraz wracam do łóżka.

Gdy wyszedł, dokończyła notatki i jeszcze raz zajrzała do Birdiego, a potem skąpanym w słońcu dziedzińcem przeszła do przyszpitalnego hotelu, w którym mieszkała. Z trudem weszła po schodach na piętro, minęła dzieloną przez pięciu młodych lekarzy kuchnię.

- Napijesz się herbaty, mój ty nocny marku? - usłyszała za sobą głos Matta.

- Z rozkoszą! - odkrzyknęła, wchodząc do swego pokoju. Ledwie zdążyła się przebrać, rozległo się pukanie.

- Wejdź, Matt.

Matt Dee był obok Delyth drugim młodszym lekarzem na oddziale chirurgii w szpitalu św. Heleny, prowadzonym przez ich wspólnego konsultanta, Michaela Forrestera. Wzajemnie się potrzebowali i wspierali, co sprawiło, że bardzo się zaprzyjaźnili. Chwilami Delyth odnosiła wrażenie, że Matt chciałby czegoś więcej niż przyjaźni, ale na razie nie zamierzała zawracać sobie tym



głowy, mimo że chłopak mógł się podobać - był dobrze zbudowanym blondynem o sympatycznym uśmiechu i, w przeciwieństwie do niej, rdzennym londyńczykiem.

- Ciężka noc? - domyślił się, podając jej kubek herbaty i siadając obok niej na łóżku.

- Ciężka, ale i ciekawa. Właśnie asystowałam przy splenektomii w trybie nagłym. Musiałam dwukrotnie zerwać z łóżka naszego starszego lekarza.

Matt zagwizdał cichutko.

- Jamesa Owena? Wczoraj robiłem z nim obchód. Tego faceta rozpiera energia, ciągle zasuwa na pełnych obrotach. Wystarczy, że na niego spojrzę, a już czuję się zmęczony.

- Uważasz, że to dobry lekarz? - spytała niby od niechcienia.

- Bardzo dobry. Nie dość, że zna się na rzeczy, to jeszcze znajduje czas, żeby z każdym pacjentem zamienić parę słów. Mam nadzieję, że kiedyś będę tak dobry jak on.

- Ja też... No Matt, zmykaj już. Ty bierz się do roboty, a ja się trochę prześpię.

- Znów mnie wyganasz ze swojej alkowy - pożałował się, puszczając do niej oko, i podniósł się z łóżka. - Aha, byłbym zapomniał: dziś wieczorem idziemy całą paczką do pubu Old Town Walls; będzie grała orkiestra jazzowa Singletona. Wybierzesz się z nami?

- Przykro mi, Matt, ale umówiłam się już z kimś o dziewiątej. Ale może wpadnę chociaż na końcówkę.

- Byłoby fajnie. No to na razie, trzymaj się.

Gdy została sama, usiadła u wezłowia łóżka, wygodnie opierając się plecami o ścianę. Upiła łyk herbaty i rozejrzała się po swoim przytulnym pokoiku. Miała szczęście, że go jej przydzielono: szpital św. Heleny - a zatem i hotel - znajdował się w samym centrum Londynu; stąd wszędzie było blisko - na

Soho, do Hyde Parku, nad Tamizę. Wciąż na nowo odkrywała, jak bardzo stolica różni się od północnowalijskiej osady, w której się urodziła i wychowała.

Wypiwszy herbatę, poszła wziąć prysznic, a następnie znów wróciła do pokoju. Położyła się i zamknęła oczy, jednak nie mogła zasnąć. Wstała więc z łóżka i spróbowała napisać list do rodziny. Od chwili przyjazdu do Londynu - co miało miejsce dwa tygodnie wcześniej - wysłała im tylko widokówkę ze skreślonymi naprędce pozdrowieniami.

Wiedziała, że wystarczy, jeśli napisze do rodziców - jej matka odbije list na ksero i roześle kopie wszystkim zainteresowanym. Bronwen Price umiała radzić sobie w życiu - mając siedem córek, musiała się tego nauczyć.

„Kochani! - zaczęła Delyth. - Jest ósma rano, a ja całą noc nie spałam. Mimo to ogromnie się cieszę, że tu przyjechałam. Sama nie wiem, czy zdołam opowiedzieć Wam o wszystkim, co się już wydarzyło...”

Większość swego życia Delyth spędziła w Walii. Tam ukończyła studia i tam odbyła praktykę w niedużym prowincjonalnym szpitalu. Wiele się nauczyła u boku Aluna Robertsa, miejscowego lekarza ogólnego, który bardzo jej pomógł i zachęcił do dalszej kariery. Po tym doświadczeniu uznała, że potrzebuje odmiany. Dlatego zdecydowała się spróbować szczęścia w wielkim mieście.

Dotychczas wszystko szło dobrze. Dyrektor szpitala i zarazem jej konsultant, Michael Forrester, odnosił się do niej bardzo życzliwie. Ponieważ jednak był specjalistą o międzynarodowej sławie, często wyjeżdżał za granicę na rozmaite sympozja i konferencje. Dlatego najczęściej będzie miała do czynienia z dwoma starszymi lekarzami - Jamesem Owenem i Peterem Kennym. No i oczywiście z Mattem Dee. Matt dobrze znał Londyn i w wolnych chwilach wprowadził ją po nim już parę razy.

O wszystkim tym Delyth napisała w swoim liście. „Dziś w nocy dwa razy zerwałam z łóżka jednego ze starszych lekarzy. Nie był tym zachwycony, ale w końcu okazało się, że postąpiłam słusznie. Nazywa się James Owen i wydaje mi się, że jest...”

Odłożyła pióro. Że jest - jaki? Była zbyt zmęczona, żeby analizować swoje uczucia. Napisała więc tylko: „że jest bardzo dobrym lekarzem”. Zaraz potem położyła się spać. Ostatnią rzeczą, o jakiej pomyślała przed zaśnięciem, było to, że ma spotkać się z Jamesem o dziewiątej. I ku swemu zdziwieniu na myśl o tym błogo się uśmiechnęła...

Po południu wróciła na oddział, by zostać tam aż do wieczora. Wychodząc z pracy, wstąpiła do szpitalnej stołówki i kupiła dwie kanapki. Gdy znalazła się u siebie, przysiadła na łóżku i zjadła je, popijając herbatą. Zastanawiała się, co na siebie włożyć. Umówiła się z Jamesem w klubie i nie była to prawdziwa randka, a mimo to chciała wyglądać... ładnie. Zdecydowała się na czarne aksamitne spodnie i koszulową bluzkę z białego jedwabiu, na którą narzuciła szary żakiet; rozpuściła też kokieteryjnie włosy. Wyruszając poczuła, że szybciej bije jej serce.

Szybkim krokiem przemierzyła dziedziniec i przez główną bramę wyszła niemal od razu na ruchliwą londyńską ulicę.

Choć nigdy przedtem nie była sama w Saracen's Head, wkroczyła tam z pewnością i swobodą, jakie charakteryzują stałych bywalców. Minęła duży bar i ciemnym korytarzykiem dotarła do wahadłowych drzwi, nad którymi widniał napis „Sala dla niepalących”. To właśnie tu mieścił się klub, czyli nieoficjalne miejsce spotkań personelu medycznego szpitala św. Heleny. Teoretycznie każdy miał prawo wstępu do tego pomieszczenia, jednak w praktyce przesiadywali w nim tylko lekarze i pielęgniarki. Sala była przestronna, bordowe tapety i obicia ładnie się prezentowały w przyćmionym świetle dyskretnych lampek. Właściciel miał słabość do lekarzy - w szpitalu św. Heleny wyleczono jego żonę chorą na raka.

Choć Delyth była tu nowa, rozpoznała kilka osób, a przy dalekim stoliku w rogu spostrzegła Jamesa. Widząc ją, podniósł się na powitanie. Poczuli, że zaschło jej w ustach. To pewnie dlatego, że jest moim zwierzchnikiem, pomyślała.

- Witaj, Delyth, miło cię widzieć. Siadaj, proszę. Czego się napijesz?

- Białego wina z wodą sodową.

Podszedł do małego okienka, które łączyło klub z głównym barem, żeby zamówić drinki, a ona jeszcze raz rozejrzała się po sali. Na twarzy pani rentgenolog malowało się ogromne zaciekawienie, zaś grupka pielęgniarek patrzyła na nią z nie skrywaną zazdrością.

Spojrzała na Jamesa, który gawędził przez okienko z właścicielem. Był w dzinsach i obcisłej koszulce. Nie widać było na nim ani grama tłuszczu. Musiała przyznać, że świetnie wygląda - w odróżnieniu od wielu innych lekarzy po trzydziestce, na których wyglądzie odciska swe piętno brak snu i ćwiczeń fizycznych, byle jakie odżywianie się i nadużywanie alkoholu.

Po chwili wrócił ze szprycerem dla niej i piwem dla siebie.

- Jedno, czego mi brakowało w afrykańskim buszu, to piwo. Mieli tam importowane wina i wódki, ale piwo było wyłącznie miejscowej produkcji. Paskudne.

- Nie wiedziałam, że byłeś w Afryce.

- Spędziłem tam dwa lata, pracując w wiejskim szpitalu. Tam trzeba szybko podejmować decyzje i szybko działać, ale też dzięki temu można się wiele nauczyć. Zyskałem duże doświadczenie jako chirurg. Nikomu jednak nie polecałbym tego typu lekcji.

- Dlaczego?

- Dlatego że nie ma tam konsultantów, nie ma kogo poprosić o radę. W sensie zawodowym jest się zdanym tylko na siebie.

Ludzie myślą, że znasz wszystkie odpowiedzi, wiesz wszystko, co trzeba. A wcale tak nie jest.

- I nie koczyło cię, żeby tam zostać?

- Nie...

- Dlaczego?

Zamiast odpowiedzieć, uśmiechnął się do niej i poprosił, by rozejrzała się wokół.

- Jesteśmy w klubie. Ludzie przychodzą tu, żeby oderwać się od pracy. A jednak przynoszą ją tu z sobą. Posłuchaj, wszyscy rozmawiają o medycynie.

Wyteżyła uwagę i jej uszu dobiegły strzępy konwersacji: „potrzeba nam więcej łóżek”; „szczególnie trudne nacięcie”; „żadne lekarstwo nie skutkowało”...

- Rzeczywiście, masz rację. Ale z nas nudziarze, co?

Pielęgniarki zgromadzone przy stoliku nieopodal wybuchły nagłym śmiechem. Któraś z nich powiedziała:

- Ale ta biała lamówka nie pasowała do całości. Delyth uśmiechnęła się triumfalnie.

- Widzisz? A jednak! One rozmawiają o fatalazkach, jak przystało na prawdziwe kobiety.

- Nie byłbym taki pewien - prychnął, marszcząc nos. - Znam tę dziewczynę, jest instrumentariuszką. Założę się, że mówi o stroju operacyjnym, nie balowym.

Oboje się uśmiechnęli.

Delyth uświadomiła sobie, że świetnie się czuje w jego towarzystwie, jest odprężona i swobodna. Trochę ją to zdziwiło, bo była z natury nieśmiała i z zasady obawiała się przełożonych. A przecież James mógł budzić strach i respekt. Więc dlaczego czuła się z nim tak cudownie?

- Miałeś mi powiedzieć, czemu wyjechałeś z Afryki - przypomniała. Złapała się na tym, że chciałaby go bliżej poznać, dowiedzieć się czegoś o jego życiu.

- Cóż, na pewno ze względów zawodowych. Chciałbym kiedyś zostać konsultantem, a praktyka w Afryce to, jak się okazuje, kiepska rekomendacja. Ale chyba ważniejsze było to, że pobyt tam zaczął mnie denerwować. Wiem, że dobry lekarz akceptuje ludzi takimi, jakimi są, ale ja...

Aż pobladł z emocji. Należał do tych, którzy w złości nie krzyczą, lecz groźnie ścisząją głos. Obym nigdy go nie rozgniewała, przemknęło jej przez głowę.

Spróbował się odprężyć.

- Nie mogłem tego znieść. To wyłącznie moja wina. Powinienem był umieć podchodzić do tego z dystansem, a ja dawałem się ponieść uczuciom... Po prostu było mi żal tych ludzi. - Pokręcił głową, jakby starał się odegnać gorzkie myśli. - Miarka się przebrała, kiedy przywieźli do nas pewnego chłopaka. Miał na imię Joseph i dokuczał mu „ból brzucha”. I to nie było jakiś ból, zapewniam cię. Zbadałem go i szybko postawiłem diagnozę: przepuklina rozworu przełykowego. Natychmiast go operowałem, a potem położyłem na oddziale. Uważałem, że dobrze się spisałem. Tamtejsze szpitale są bardzo prymitywne, za to personel chętnie się uczył i był szczerze oddany pracy, no i zajmowaliśmy się też przyuczaniem tubylców. W każdym razie dzień po operacji Joseph czuł się dobrze. Powiedział mi, że sam chciałby zostać pielęgniarzem albo nawet lekarzem... Trzy dni później musiałem pojechać do pobliskiej wioski na okresowe badania. Kiedy wróciłem, Josepha nie było na oddziale. Przywiozła go do nas matka, natomiast ojciec go od nas zabrał. Personel nic nie mógł na to poradzić. Ojciec ostrzegł ich, żeby nie wtrącali się w sprawy rodzinne.

James odetchnął głęboko i wypił łyk piwa ze szklanki.

- Widziałeś jeszcze potem tego chłopaka? - spytała.

- O tak, widziałem. Po tygodniu przywieziono go z powrotem - osłabionego, wychudzonego, z bardzo wysoką gorączką. Obejrzałem nacięcie, które zrobiłem. Ktoś zerwał opatrunek i wysmarował ranę jakimś paskudztwem. Wdało się zakażenie. Mimo że podaliśmy chłopakowi silne antybiotyki, zmarł dwa dni później... Miejscowy uzdrowiciel orzekł, że chorobę powodują złe duchy, i postanowił przepędzić je z brzucha Josepha. Mój opatrunek zamienił na swój, i w efekcie chłopak zmarł.

- I w Anglii ludzie wierzą czasem w różne dziwne rzeczy - wtrąciła.

- Wiem coś o tym. Czytają horoskopy i ślepo im ufają. Nawet medycyna nie jest od tego wolna. Jak grzyby po deszczu mnożą się rozmaici szarlatani i oferują lekarstwa na to, czego nie da się wyleczyć. Szaleńcy i rzekomi cudotwórcy... Ludzie obdarzeni mocą!

Delyth zaczęła czuć się trochę nieswojo. Jego szczerą złość naprawdę ją zmartwiła, bo nie we wszystkim zgadzała się z nim w stu procentach. I wiedziała, że wkrótce będzie musiała mu o tym powiedzieć.

Na szczęście twarz mu się rozpuściła.

- Przepraszam, że się tak uniosłem. Nieczęsto mi się to zdarza. Wróćmy jednak do tego, co stało się w nocy. Jakim cudem dostrzegłaś coś, co ja przeoczyłem? Byłaś pewna, że Birdie jest chory, prawda?

- Tak... przypuszczałam.

- Ale przecież przeprowadziliśmy wszystkie możliwe badania, i nic na to nie wskazywało. Wiadomo, że pęknięcie śledziony często ujawnia się dopiero po jakimś czasie, i w tym cały kłopot... A jednak ty od początku byłaś przekonana, że coś jest nie tak. Jakim sposobem?

Wiedziała, że on naprawdę chce się tego dowiedzieć - że jest nawet gotów nauczyć się czegoś od niej. Przynal się do niej i wyczekująco na nią patrzył. Czowała jego zapach, ciepło jego ładnie umięśnionego ciała, i cieszyła ją ta bliskość. A zarazem wiedziała, że to, co mu powie, bardzo go rozgniewa - zdążyła się już zorientować, że nienawidzi przesądów i zabobonów.

- Po prostu wiedziałam - odparła. - Nazwijmy to kobiecą intuicją.

Zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie zadowala mnie taka odpowiedź. Bo to nie było tylko przeczucie. Ty miałaś absolutną pewność. Chcę wiedzieć dlaczego. - Zmarszczył brwi, gdy się zawahała. - Mam nadzieję, że czegoś się od ciebie nauczę. Jestem gotów uczyć się od każdego. Lekarz, który uważa, że wie już wszystko, jest zagrożeniem dla otoczenia.

Uznała, że musi spróbować.

- Dobrze, powiem ci, ale nie mów o tym nikomu. I nie śmieję się ze mnie ani się na mnie nie wściekaj.

- Miałbym się śmiać albo wściekać? Coraz bardziej mnie intrygujesz.

- Powiesz, że to taka walijska odmiana babskiego gadania. I może faktycznie tak jest. To... nie zdarza się zbyt często. Po prostu czasami... wiem, że ktoś jest poważnie chory. Czuję to i jestem o tym przekonana. Dotychczas jeszcze nigdy się nie pomyliłam. Nie opieram się na przesłankach medycznych. To jakiś wewnętrzny głos, głęboko we mnie. - Spojrzała na niego z niepokojem.  
- Obiecałeś, że nie będziesz się śmiał. Pewnie uważasz mnie za głuptaszkę?

- Jakaś część mnie tak właśnie uważa - przyznał - i to niemała... Ale dałaś mi do ręki dowód: prawidłowo zdiagnozowałaś Birdiego. Więc muszę cię traktować poważnie... Opowiedz mi o innych przypadkach.

- Czasem... a właściwie dość często to jest niemal oczywiste. Inni lekarze też to wiedzą. Różnica polega na tym, że ja wiem, jeszcze zanim zbadam chorego albo zapoznam się z jego kartą. Kiedyś miałam praktykę na oddziale nagłych wypadków. To była sobota i wszyscy mieli okropnie dużo pracy. Przywieziono młodą dziewczynę. Pielęgniarka uznała, że jej przypadek jest poważny, ale nie zagraża życiu. Ja od początku wiedziałam, że jest inaczej. Próbowałam powiedzieć o tym lekarzowi, ale jego zdaniem wygadywałam głupstwa, a on miał pełne ręce roboty... No i dziewczyna umarła. Dostała wylewu krwi do mózgu. Nie mogłam tego wiedzieć, a jednak wiedziałam...

Wspomnienie było tak bolesne, że nawet jej głos się zmienił, kiedy o tym opowiadała. James delikatnie pogłaskał ją po dłoni.

- Pamiętaj, że nie jesteśmy bogami. Robimy, co w naszej mocy, ale niektórzy i tak umierają.

A niech tam, powiem mu wszystko, do końca, pomyślała.

- Teraz zirytuję cię na dobre - ostrzegła. - Wiesz, że siódmy syn siódmego syna ma rzekomo posiadać magiczną moc?

- Tak, słyszałem o tym zabobonie.



- No więc ja jestem siódmą córką mojej matki, która też była siódmą córką. Już możesz się śmiać.

- Wcale nie zamierzam się śmiać - odrzekł, kręcąc głową. - Ale też nie myśl, że ci uwierzę. Swego czasu słynna była historia o koniu, który rzekomo potrafił liczyć. Pokazywano mu dwie karty, piątkę i trójkę, a wówczas on osiem razy uderzał w ziemię kopytem. Zarówno jego właściciel, jak i inni ludzie wyciągali z tego wniosek, że koń umie odczytać cyfry widoczne na kartach. Prawda jednak była taka, że koń obserwował właściciela i widział, jak ten zastyga w napięciu po ósmym uderzeniu kopyta. Reagował więc po prostu na ten subtelny sygnał, tyle że nikt nie wiedział, co się naprawdę dzieje.

- Ja nie jestem koniem.

- Są lekarze, którym wystarczy jedno spojrzenie, żeby postawić właściwą diagnozę. To nie instynkt, tylko podświadomie gromadzone doświadczenia i wskazówki. Ty też masz tę umiejętność, ale nabytą wcześniej niż inni. Za jakiś czas będzie z ciebie fenomenalny diagnosta.

Jego hipoteza nie była całkiem bezsensowna, jednak ona wciąż czuła, że to nie to.

- Chcesz się jeszcze czegoś napić? - zapytał. - Zabrałem ci mnóstwo czasu. Może miałaś jakieś inne plany?

Prawdę mówiąc, wcale nie miała ochoty się z nim rozstawać.

- Chętnie wybrałabym się do pubu Old City Walls. Gra tam zespół, którego chciałabym posłuchać. Będzie też paru moich znajomych. Możesz pójść ze mną, jeśli masz ochotę.

- Jeśli mam ochotę?

- Ujmę to inaczej: cieszyłabym się z twojego towarzystwa. Więc jak?

- Pójdę z przyjemnością.

I faktycznie, poszli piechotą, choć z pewnością nie spacerkiem. James miał długie nogi i pędził przed siebie jak wariat, tak że Delyth ledwie za nim nadążała. Gdy zwróciła mu na to uwagę, przeprosił ją i zwolnił kroku.

- W wolnym czasie lubię pobiegać - wyznał.

W pubie było tłoczno, głośno i wesoło.

Delyth usadowiła się w rogu, pomiędzy Mattem i Jamesem, który postawił kolejkę wszystkim jej znajomym, a następnie wdał się z Mattem w rozmowę o grze na bębnach, która zachwyciła go w Afryce.

Gdy zespół jazzowy grał ostatni kawałek, Matt i inni koledzy oznajmili, że jeszcze zostają. Delyth jednak czuła się zmęczona i chciała już wracać do domu. James zaproponował, że ją odprowadzi.

- Londyn tętni życiem nawet w nocy - zauważyła w drodze powrotnej. - O tej porze w mojej wiosce wszyscy są już w łóżku.

- Podoba ci się tu? Czy to nie za duży szok kulturowy?

- Czasem mam wrażenie, że powinnam być nie tylko lekarzem, ale i pracownikiem opieki społecznej. I niekiedy językoznawcą.

- No a samo miasto?

- Uważam, że jest cudowne. I ogromne. I nie sposób się tutaj nudzić.

Wiem też jednak, że nigdy nie zdołam obejrzeć wszystkiego, co bym chciała.

- Mieszkam w Londynie od osiemnastego roku życia. Z wyjątkiem tych dwóch lat, które spędziłem w Afryce. Może chciałabyś, żebym cię oprowadził? Powiedzmy, w sobotę rano? Widziałem harmonogram dyżurów, więc wiem, że masz wolne.

- W sobotę rano jestem już umówiona z moją siostrą Megan. Ale byłoby mi bardzo miło, gdybyś zechciał do nas dołączyć.

Zawahał się i zrozumiała, że wolałby być z nią sam na sam.

- Nie będę wam przeszkadzał?

- Ależ skąd! Megan z radością cię pozna. Chodzi o coś innego... Dokąd chciałeś mnie zabrać?

- Myślałem o Covent Garden. W Londynie nie brak ciekawych miejsc. Czemu pytasz?

- Bo ustaliliśmy z Megan, że spotkamy się w Muzeum Brytyjskim.

- Coś podobnego!

- Megan uwielbia oglądać stare kamienne rzeźby, ja zresztą też. Ale jeśli masz się nudzić, to...

- Kamienne rzeźby? Chcesz powiedzieć, że twoja siostra Megan to Megan Price, ta rzeźbiarka?

- Tak, to ona.

- O rany, nie miałem pojęcia. Bardzo chciałbym ją poznać. Byli już na dziedzińcu szpitala, przed hotelem.

- Przyjemnie spędziłam wieczór i dziękuję, że dotrzymałeś mi towarzystwa - powiedziała z udawaną powagą. - Ale do środka cię nie zaproszę, bo jestem skonana.

- Ja też doskonale się bawiłem. Już dawno nie spotkałem tak uroczej młodszej lekarki. Spotkamy się tu w sobotę, o dziesiątej rano. Zgoda?

- Zgoda. - Nie protestowała, gdy cmoknął ją przelotnie w policzek.

Rozebrała się, umyła i szybko wskoczyła do łóżka, by myśleć o tym pocałunku. To był zwykły, przyjacielski buziak, nic więcej. A szkoda, że nic więcej, pomyślała. Przyznała w duchu, że zależy jej na Jamesie. Nie wiedziała jednak, jak wiele ona sama dla niego znaczy.

## ***ROZDZIAŁ DRUGI***

Delyth lubiła swą pracę, lecz samodzielne podejmowanie decyzji nadal sprawiało jej czasem trudność.

Ranek rozpoczęła od pobrania próbek krwi, które wysłała potem do laboratorium. Następnie uporała się z masą papierkowej roboty, za którą nie przepadała, ale której starała się nie zaniedbywać. Dopiero wtedy przyszedł czas na prawdziwą medycynę.

Wendy Webster była dość otyła i miała około pięćdziesięciu lat. Przyjęto ją do szpitala na banalną operację wycięcia żyłaków. Ponieważ jej życiu nic nie zagrażało, wpisano ją na listę oczekujących. Gdy po tygodniu nadeszła jej kolej, Delyth do niej zajrzała.

- Strasznie się naczekałam, pani doktor - skarżyła się pacjentka. - Ostatnio czuję się bardzo zmęczona. Czy po operacji poczuję się lepiej?

- Łatwiej pani będzie się poruszać - odparła ostrożnie Delyth. Nieraz ją ostrzegano, by nie obiecywała pacjentom, że operacja rozwiąże wszystkie ich problemy. - Jak na swój wiek i wagę, jest pani w dobrym stanie. Na razie nie widzę przeciwwskazań do znieczulenia ogólnego. A teraz zbadam pani piersi. - Zerknęła do karty choroby. - Widzę, że nigdy nie robiła pani mammografii?

- Dość miałam kłopotów z nogami. Mój lekarz ogólny zalecał mi to badanie, ale od razu mu powiedziałam, że nie będę sobie tym zawracać głowy.

Nie była to odosobniona reakcja. Delyth wiedziała, że nazbyt wielu ludzi uważa, że jeśli cierpią na jedną chorobę, to jakimś cudem chroni ich to przed zachorowaniem na inną.

- Zawsze dobrze jest to sprawdzić - podkreśliła łagodnie. - Umie pani sama zbadać piersi?

Pani Webster skrzywiła się z zażenowaniem, jednoznacznie dając do zrozumienia, że poważnej kobiecie takie rzeczy nie przystoją.

- Nigdy nic tu pani nie bolało? Żadnej wydzieliny, żadnych zmian w kształcie lub wielkości?

- Nie, pani doktor. Oprócz nóg, nic mi nie dolega.

Delyth dokładnie zbadała obie piersi. I w lewej - była tego pewna - wyczuła charakterystyczny rakowaty guzek. Na szczęście udało jej się nie okazać przerażenia.

- Na razie to wszystko, ale ktoś jeszcze panią obejrzy.

- Będę szczęśliwa, jak mi wreszcie usuną te żylaki - westchnęła pacjentka.

- Po operacji nareszcie znów będę mogła cieszyć się życiem.

- Zuch kobieta, tak trzymać - dodała jej otuchy Delyth. W pokoju lekarzy znalazła Petera Kenny.

- Rozmawiałam przed chwilą z panią Webster. Wycinamy jej jutro żylaki.

- Wiem. A co, chciałabyś asystować?

- Chodzi o to, że ona... ma rakowaty guzek w sutku. Jestem tego pewna.

- Rozumiem. Jakie badania przeprowadziłaś?

- Rutynowo zbadałam jej piersi. Oczywiście nic jej nie powiedziałam, tak że nadal uważa, że dolegają jej tylko żylaki.

- Zaraz sam ją obejrzę, a potem pomyślimy o mammografu i biopsji. Wtedy zdecydujemy, czy pokazać ją onkologowi.

- Przy każdym badaniu rutynowo sprawdzaj piersi - wyrecytowała. - Teraz już rozumiem, dlaczego...

- Natknięcie się na coś, czego się nie spodziewamy, zawsze powoduje wstrząs. Ale jestem pewien się, że z czasem przywykniesz i do tego.

Peter miał opinię lekarza kompetentnego, lecz nieczułego. Delyth jednak uznała, że jest zdolny do współczucia bardziej, niżby się zdawało.

Prawie wcale nie widywała Jamesa. Raz pomachał do niej ręką, gdy rozmawiał z kimś na oddziale, ale była wówczas zajęta i nie mogła do niego podejść. Jak zwykle, pędził przed siebie jak wariat, w pełni zasługując na miano „nawiedzonego”.

- Co James robił na oddziale? - spytała niby to od niechcienia Sue Ashton, starszą pielęgniarkę.

- Sprawdzał, jak się miewa Birdie Jones. Aż dziwne, że nie zapytał o to ciebie.

- Próbowałam się skontaktować z mężem pani Webster - zmieniła temat Delyth. - Zostawił swój numer do pracy, ale nie mogli go tam znaleźć. Dali mi do zrozumienia, że to moja wina.

- To zawsze jest wina lekarza... A co do Jamesa, to musiał biec do przychodni. Przystojny facet, jednak coś mi się zdaje, że nie zamierza się jeszcze usatkwować. Widywałam go z różnymi dziewczynami, ale nigdy nie trwało to długo.

Delyth zrozumiała, że Sue chce ją delikatnie ostrzec.

- Może nie znalazł jeszcze właściwej kobiety...

- Może. - Sue zmarszczyła brwi. - Słyszałam coś o nim, zanim go zaniósł do tej Afryki. Nie bardzo pamiętam... Często wtedy wyjeżdżałam i mało mnie to obchodziło, ale to nie był skandal, tylko jakaś tragedia.

- Nie pamiętasz, o co chodziło? - spytała Delyth z pozoru obojętnie.

- Prędzej czy później sobie przypomnę.

Sobotni wrześniowy ranek był wyjątkowo ciepły i słoneczny. Delyth włożyła džinsy, granatową koszulę i buty na płaskim obcasie. Wiedziała, że podczas wycieczki do muzeum będą dużo chodzić.

Nie zdziwiła się, widząc, jak James szybkim krokiem przemierza w tę i z powrotem dziedziniec, zamiast czekać na nią na ławeczce. Podobnie jak ona, ubrany był w džinsy; do tego włożył koszulkę polo i lekką marynarkę. Zdążyła mu się przyjrzeć, zanim ją zauważył; na jego twarzy ujrzała dziwny smutek, którego przyczynę chętnie by poznała.

- Jestem punktualnie, co do minuty - powiedziała. Na jej widok twarz wyraźnie mu się rozpogodziła.

- Założę się, że nigdy się nie spóźniasz. - Ujął ją pod ramię. - Chcesz czymś podjechać czy się przejdziemy?

- Lubię spacerować, ale nie w takim tempie jak ty.

- Czasem się zapominam. - Uśmiechnął się do niej przepraszająco. - Nie zajmie nam to dłużej niż kwadrans.

Przed muzeum nie było aż tylu turystów co w środku lata, ale i tak zajmowali całe schody, pokrzykując w różnych językach i nawzajem się fotografując. Delyth i James powoli utorowali sobie drogę przez tłumek.

Delyth umówiła się z siostrą w sklepie znajdującym się tuż przy wejściu. Gdy do niej podeszli, okazało się, że zdążyła już kupić kilka ładnych pocztówek.

Megan była o dziesięć lat starsza od Delyth. Miała krótko obcięte włosy i ubrana była w czarny strój, który zdobiła jedynie prosta srebrna biżuteria. Z fikuśnej kieszeni spodni, umieszczonej na wysokości uda, wystawały ołówki i szkicownik, z którym praktycznie się nie rozstawała.

Delyth cmoknęła siostrę w policzek, a następnie przedstawiła jej Jamesa.

- Jesteś starszy niż Delyth - zauważyła bez zbędnych wstępów Megan.

- Lubię duże siostry, które opiekują się małymi - odrzekł James z nieznacznym uśmiechem. - Jestem od niej starszy zaledwie o osiem lat.

- Wybacz. - Wyraz napięcia zniknął z twarzy Megan. - Wciąż traktuję ją jak niewinną panienkę, narażoną na niebezpieczeństwa w wielkim i zepsutym mieście. Miło mi cię poznać. Chcielibyście obejrzeć tutaj coś konkretnego?

- Wszystko. Wstyd powiedzieć, ale jeszcze nigdy tu nie byłem. Za to regularnie odwiedzam galerie sztuki.

- Tego nie da się obejrzeć za jednym razem. Sztuka asyryjska, na przykład...

- A co ty chcesz zobaczyć? - przerwała jej Delyth.

- Zamówiono u mnie rzeźbę z brązu. Ma stać u wejścia do budynku, w którym mieści się siedziba firmy handlującej z Egiptem. Można powiedzieć, że przyszedłam tu po natchnienie.

- A zatem pójdziemy za tobą - oznajmił James. - A jeśli będziesz chciała gdzieś przystanąć i czemuś się uważniej przyjrzeć, to nie krępuj się, sami sobie poradzimy.

- Zgoda - rzekła Megan. - To chyba dobry pomysł.

Przeszli spacerkiem przez sale poświęcone sztuce dwudziestego wieku, aż w końcu dotarli do pomieszczenia, w którym wyeksponowana była dawna sztuka Arabii Saudyjskiej. Tutaj się zatrzymali. Widać było, że Megan jest bardzo podekscytowana tym, co ogląda. Wpatrzona w brązową figurkę koziorożca, tylko zdawkowo odpowiadała na zadawane jej pytania. James mrugnął porozumiewawczo do Delyth i zwrócił się do Megan:

- Spotkamy się później, dobrze? Przecież widzimy, że oczu od tego nie możesz oderwać.

- Co mówisz? Aha, tak... Przepraszam. A więc za godzinę w kawiarni, dobrze?

Odchodząc widzieli, jak Megan wyciąga z kieszeni szkicownik. Delyth westchnęła z irytacją, przez którą przebijała jednak czułość.

- Z nią tak zawsze... Prawdę mówiąc, wszystkie moje siostry są takie. Wszystkie zajmują się jakąś odmianą sztuki, poza którą świata nie widzą. Chyba rozumiesz, że ona nie chciała być niegrzeczna?

- Wcale nie uważam, żeby była niegrzeczna. Lubię ludzi, którzy wiedzą, czego chcą; ludzi z pasją. - Zamilkł na chwilę, a potem spytał: - Więc czemu ty nie jesteś artystką?

Energicznie pokręciła głową.

- Podobają mi się rzeczy, które tworzą moje siostry, ale od małego wiedziałam, że mnie pisana jest medycyna.



- Ciekawe - mruknął. - Ja sam dość późno zdecydowałem się na ten kierunek.

Niektóre eksponaty i opisane na tabliczkach informacyjnych rytualne obrzędy ofiarne ponownie sprowokowały ich do wymiany zdań na temat „ciemnoty i zabobonu”.

- Ludzie muszą w coś wierzyć - stwierdziła na koniec Delyth. - I nie nam ich pouczać, w co.

Gdy weszli do kawiarni, Megan już na nich czekała. Dosiedli się do niej i zamówili tartinki i herbatę.

Megan z zadowoleniem oznajmiła, że wykonała kilkanaście szkiców, dzięki którym wykrystalizowała jej się ogólna koncepcja dzieła.

- Teraz, kiedy mam już pomysł, mogę się odprężyć. - Uśmiechnęła się do Jamesa. - A jak tobie się tu podobało?

- Jestem zachwycony. Zamierzam bywać tu regularnie.

- A gdzie nie zamierzasz bywać regularnie?

Nie zbiło go z pantałyku to dziwnie postawione pytanie.

- Na przykład w parlamencie - odparł bez wahania. - A już na pewno nie w Izbie Gmin. Urzędują tam same darmozjady.

- Uważasz, że ty spisałybyś się lepiej? - naciskała Megan.

- Zamiast gadać po próżnicy, wziąłbym się do działania... Tacy już są lekarze: sądzą, że stać ich na więcej niż innych ludzi i że mają lepsze recepty na życie.

Delyth postanowiła wybawić Jamesa od inkwizytorskich zapędów siostry.

- Pewnie dlatego, że młodszy lekarze i pielęgniarki stawiają was na piedestale i uważają za autorytet - wtrąciła.

James westchnął z utęsknieniem.

- Gdybyż to była prawda! Pomarzyć dobra rzecz. - Spojrzał na zegarek. - No, muszę już iść, moje panie, robota czeka. Poza tym, na pewno macie sobie

mnóstwo do powiedzenia. - Podniósł się i wyciągnął rękę do Megan. -

Naprawdę miło mi było cię poznać. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

- Może nawet szybciej, niż myślisz - odrzekła Megan z uśmiechem. - Dziś wieczór urządza małe przyjęcie. Oczywiście Delyth na nim będzie. Może też byś wpadł? Nic specjalnie uroczystego, zwykłe spotkanie dobrych przyjaciół.

James rzucił Delyth pytające spojrzenie.

- Zgódź się - powiedziała. - Po połowie zapłacimy za taksówkę. Bo nie myśl sobie, że będę zdzierać obcasy w moich najlepszych butach.

- W takim razie wpadnę z przyjemnością. Megan szczerze się ucieszyła.

- A zatem czekam o dziewiątej. Delyth zna adres.

Gdy się oddalał, obie w milczeniu odprowadzały go wzrokiem. Delyth dołała sobie herbaty.

- Znów się zamieniasz w siostrę piastunkę? - zażartowała, uśmiechając się serdecznie. - Zaraz albo mnie zbesztasz, albo spytasz, czy coś z tego będzie. Tak czy owak, na pewno doniesiesz na mnie mamie.

Jednak inaczej niż zwykle, Megan nie miała jeszcze wyrobionego zdania.

- Co mówi ci o nim jego twarz?

Delyth natychmiast zdwoiła czujność. Jej siostra czytała w ludzkich twarzach jak w otwartej księdze. Kiedyś wykonała w brązie głowę pewnego polityka. On sam był zachwycony, ale jakiś krytyk sztuki napisał, że na tym obliczu widać wszystkie wady jego charakteru.

- Nie wiem - odparła niepewnie. - A co ty zdołałaś z niej wyczytać?

- Ja pierwsza zadałam to pytanie. Opowiedz mi o nim, o tym, co mówi i jak się zachowuje.

- Znam go tylko parę dni. Jest świetnym lekarzem i myślę, że wiele się od niego nauczę. Jest bardzo oddany pracy i od innych oczekuje tego samego.

- Założę się, że pracuje jak wariat... No więc, co widzisz na jego twarzy?

- Ma twarz przystojną i sympatyczną, ładnie wykrojone usta, zadbane zęby... Szkoda tylko, że dość rzadko się uśmiecha. - Zawahała się. - Jeszcze żaden mężczyzna... tak mnie nie pociągał. - Uff, wykrztusiła to z siebie.

- A oczy?

- Oczy ma chyba szare, ale...

- Nie wiesz, że oczy są zwierciadłem duszy? - prychnęła Megan ze zniecierpliwieniem. - Mówisz jak lekarka, a nie jak kobieta. No więc, co mówią ci jego oczy?

- Jestem i lekarką, i kobietą - nadała się Delyth. - I wcale mi to nie przeszkadza. Sama sobie odpowiedz na to pytanie.

- Za dużo pracujesz, ot co. Ale nie mogę cię winić, to nasza rodzinna cecha.

- Nie zmieniaj tematu, Megan. Mów szczerze, co masz do powiedzenia.

- Jego twarz jest szalenie interesująca... i coś się w niej kryje. Miałabym ochotę wyrzeźbić jego popiersie. Ale mówię ci: on coś ukrywa. Zadaje sobie dużo trudu, żeby to ukryć, zdradza go jednak twarz.

- Nie mogłaś tego wszystkiego zobaczyć, zmyślasz...

- Przecież wiesz, że się na tym znam. Czy kiedykolwiek się pomyliłam?

- Muszę przyznać, że nie... - odparła Delyth po chwili zastanowienia.

Wróciła do hotelu, poczytała trochę, a potem się zdrzemnęła. Nauczyła się wykorzystywać na sen każdą dogodną chwilę. Później zrobiła sobie frajdę i zamiast wejść pod prysznic, na długo zanurzyła się w wannie, wlewając do wody cudownie aromatyczny płyn do kąpieli. Umywszy włosy, niespiesznie suszyła je w pokoju, delektując się zarazem dźwiękami „Mesjasza” i podśpiewując partię kontrami.

Wybranie odpowiedniej sukienki nie powinno sprawić jej trudności - nie miała ich przecież aż tak wiele. Zdecydowała, że włoży... Nagle zadzwonił telefon.

- Spodobała mi się twoja siostra - odezwał się w słuchawce głos, który natychmiast rozpoznała. - I cieszę się, że idziemy na przyjęcie.

Znała go zaledwie od kilku dni. Był jej kolegą po fachu, z którym zaczynała się dopiero zaprzyjaźniać. Czemu więc, gdy usłyszała jego głos, zalała ją fala przyjemnego ciepła?

- To ty, James? - upewniła się.

- Jak zwykle, sprawiam kłopot. Żegnając się z wami, zapomniałem zapytać o coś ważnego. Pytanie to zadaje każda kobieta: co mam na siebie włożyć?

- I każda kobieta inaczej na nie odpowiada...

- Mógłbym włożyć smoking, ale to byłaby chyba przesada. Mam też elegancki szary garnitur, ale nie jestem jednak pewien, czy to odpowiedni strój. Nie wiem, co robić.

- Megan ma mnóstwo rozmaitych znajomych. Niektórzy przyjdą w garniturach, inni w strojach sportowych. Więc sam musisz zdecydować.

- Gdybyś z podobną beztronską traktowała medycynę, wylałbym cię z pracy. Powinnaś ułatwiać mi życie. A w co ty zamierzasz się ubrać?

- W granatową suknię z jedwabiu.

- Doskonale. Szary pasuje do granatu. Włożę garnitur. Mam kupić jakąś butelczynę?

- Nie ma potrzeby. Ale bukiet kwiatów nie zaszkodzi.

- I może jeszcze pudełko szwajcarskich czekoladek? Wiesz, życie towarzyskie w Afryce było dużo mniej wyrafinowane. O wpół do dziewiątej zapukam do twoich drzwi, zgoda?

Zaskoczył ją tą propozycją - mogli przecież spotkać się na dole. Ale...

- Zgoda - odparła. - Będę gotowa na czas.

- A więc zamówię taksówkę.

Ostateczną decyzję o tym, co na siebie włoży, podjęła w chwili, gdy ją o to zapytał. Wyjęła więc teraz z szafy granatową sukienkę i przyjrzała jej się z

pewnym powątpiewaniem. Z pewnością wygląda w niej atrakcyjnie, ale czy nie nazbyt... prowokująco?

Starannie wyszczotkowała włosy, aż stały się lśniące i puszyste, a potem związała je szeroką granatową aksamitką. W szufladzie z bielizną znalazła białe jedwabne figi i... zastanowiła się, czyby nie pójść bez biustonosza. Miała ładne piersi, ale... W końcu włożyła cienki staniczek cielistej barwy, który raczej opinał się na jej biuście niż go podtrzymywał. Zdecydowała, że obejdzie się bez rajstop - na dworze wciąż jeszcze było ciepło.

Przyjrzała się sobie w lustrze. Suknia była obcisła, bez rękawów, ze stójką z przodu i zalotnym dekoltem na plecach. Sięgała wprawdzie do kostek, ale z prawej strony, na wysokości uda, miała głębokie rozcięcie. Delyth dostała ją od swojej starszej siostry Bethan na dwudzieste pierwsze urodziny. Tylko młoda i zgrabna dziewczyna mogła sobie pozwolić na włożenie takiej kreacji. Stroju dopełniały lekkie granatowe pantofelki na obcasie.

Następnie Delyth starannie się umalowała, mocniej niż zwykle podkreślając ładne zielone oczy. Była zadowolona ze swego wyglądu i gotowa do wyjścia.

Rozległo się pukanie do drzwi.

James dobrze wyglądał w jasnoszarym garniturze, do którego świetnie pasowała grafitowa koszula i rdzaworudy krawat.

- Delyth, wyglądasz... oszałamiająco.

- Jak chcę, to potrafię się ubrać, prawda? Nie zawsze chodzę w dżinsach i mokasynach.

- Te włosy i makijaż... Nie mogę się napatrzeć.

- Dziękuję, naprawdę miło mi to słyszeć. Wprawdzie na ogół skupiam się na tym, żeby być dobrym lekarzem, ale niekiedy dokonuję ustępstw na rzecz mojej kobiecości. Widzę jednak, że i ty się postarałeś. I uśmiechasz się dziś... niemal jowialnie.

- Cóż za urocze słowo. Przypomnij mi, żeby sprawdził je w słowniku.

Gestem ręki zaprosiła go do środka.

- Miło tutaj - zauważył, rozglądając się po pokoju. - Taką klitkę udało ci się zamienić w prawdziwy dom. Nie to co u mnie. Gdybyś wyniosła ubrania i książki, nic by tam po mnie nie zostało.

- Przydałaby ci się towarzyszka życia - powiedziała, i natychmiast się zaczerwieniła.

- Uważaj, żebym kiedyś nie przypomniał ci tych słów - odparował z wymownym uśmiechem.

Uznała, że bezpieczniej będzie zmienić temat.

- Co tam trzymasz w ręku?

- Nie kupiłem wina ani kwiatów. Pomyślałem, że zamiast tego dam naszej uroczej gospodyni mały prezent. - Zerknął na nieduże pudełko owinięte w gustowny ciemnoczerwony papier.

- Co to? Umieram z ciekawości. Wiesz, że mam niezwykle dociekliwy umysł.

- Powiedziałbym raczej, że jesteś wścibska - zażartował. - Poczekaj, dowiesz się w swoim czasie.

Delyth zdawała sobie sprawę, że mnóstwo osób widzi, jak wraz z Jamesem wychodzi z hotelu. Prawdę mówiąc, wcale jej to nie przeszkadzało. Jeszcze nigdy nie była obiektem plotek, więc uznała, że zabawnie będzie stać się nim teraz, i to przy takiej okazji.

Taksówką pojechali do Highgate, gdzie kierowca zatrzymał się przed dużym starym domem w stylu wiktoriańskim, w którym obecnie, po nieznacznej przebudowie, mieściły się cztery mieszkania. Mieszkanie Megan - a także jej pracownia - znajdowało się na tyłach, w dawnej wozowni.

- Byłbym zapomniat - zagadnął James. - Widziałem, że Megan nie nosi obrączki, więc domyślałem się, że nie jest mężatką. A czy w ogóle jest z kimś związana?

- W tej chwili nie. Ale miała już kilku, jak to się teraz mówi, partnerów.

Wychwycił w jej głosie nutkę dezaprobaty.

- Nie popierasz takiego rozwiązania?

- Megan ma prawo żyć jak jej się podoba. Jej związki trwają zwykle rok, a potem się rozpadają. Jednak ze wszystkimi byłymi chłopakami ma zwyczaj się przyjaźnić.

- Widzisz w tym coś złego?

- To nie moja sprawa - odparła lekko poirytowana. - A już na pewno nie twoja. Mogę jedynie powiedzieć, że mnie by to nie odpowiadało.

- Oczywiście, mogłem się tego domyślić. Delyth zadzwoniła do drzwi.

Megan jak zwykle wystąpiła w czerni.

Delyth przypomniała sobie, jak matka powiedziała kiedyś, że weekend z Megan to jak weekend w zakładzie pogrzebowym. Musiała jednak przyznać, że siostra wygląda intrygująco i atrakcyjnie. Było jej do twarzy w luźnej aksamitnej szacie, którą zdobił naszyjnik z gagatów oprawionych w srebro.

- Tak się cieszę, że wpadliście - przywitała ich w progu. James wręczył jej paczuszkę.

- Przyniosłem ci drobny upominek. Chcę ci się przypodobać, żebyś mnie jeszcze kiedyś zaprosiła.

- Uwielbiam niespodzianki! - zawołała radośnie Megan, natychmiast rozrywając papier.

Jej oczom ukazała się mała rzeźba w ciemnym kamieniu, przedstawiająca... męską twarz? Cóż za paskudztwo, pomyślała Delyth. Megan jednak była zachwycona.

- To naprawdę dla mnie? - upewniła się ściszonego głosem, w którym słyhać było niedowierzenie. - Jest prześliczna, ale chyba nie mogę tego przyjąć...

- Ależ możesz, możesz - uspokoił ją James. - Ktoś mi ją podarował, a ja z przyjemnością podaruję ją komuś, kto potrafi docenić jej piękno. U mnie ponieważ się w szufladzie.

- Jest cudowna. Na pewno nie będzie ci...?

- Na pewno. Nie chcę jej ani nie potrzebuję. I podejrzewam, że Delyth uważa ją za brzydką. Myślałem jednak, że tobie powinna się spodobać.

- I nie pomyliłeś się! Muszę się nią zaraz pochwalić. Chodźcie, przedstawię was znajomym.

Zdaniem Bronwen Price, matki obu siostr, jej córka Megan dobierała przyjaciół równie starannie jak większość ludzi dobiera meble.

W dużym salonie z balkonem znajdowało się ponad dwudziestu gości, którzy krążąc po pokoju, rozmawiali, wybuchali śmiechem, popijali drinki. Atmosfera była tak przyjazna, a znajomi Megan tak bezpośredni i spontaniczni, że Delyth i James bez oporu się do nich przyłączyli. Delyth wdała się w pogawędkę z Charlesem Kayem, prawnikiem, który zajmował jedno z czterech mieszkań w domu. Po chwili jednak James odciągnął ją na bok, prosząc, by przekonała jego przeciwnika w dyskusji, że Walia jest nieporównanie lepszym miejscem na spędzenie urlopu niż Szkocja.

Delyth sączyła szprycera, James z umiarem popijał piwo. Zauważyła, że bardzo się spodobał przyjaciółom Megan - był bardziej odprężony niż zwykle i częściej się uśmiechał.

Delyth poszła z Megan do drzwi wyjściowych, by pożegnać jednego z gości, który musiał wcześniej opuścić przyjęcie.

- Świetnie się bawię - wyznała, kiedy schodami wracały do salonu. - I sądzę, że James...

Nigdy przedtem nie spadło to na nią aż tak nagle, dosłownie w jednej chwili. Przeszył ją ból, ogarnęło przerażenie. Doznanie było tak nieoczekiwane, że nie dokończywszy zdania, w panice uchwyciła się poręczy, w obawie, że upadnie. Zupełnie jakby z kimś... współcierpiała.

- Delyth! Nic ci nie jest? Może coś ci zaszkodziło? Coś, co zjadłaś albo wypiałaś? - Megan pobladła z niepokoju i pomogła siostrze usiąść na drewnianym stopniu.



Ale to był ból innego rodzaju, toteż Delyth zaprzeczyła ruchem głowy.

- Po prostu zrobiło mi się nagle trochę słabo. Nie przejmuj się, zaraz mi przejdzie...

Mimo usilnych protestów siostry, Megan poszła po Jamesa.

Zatroskany, przykląkł obok Delyth; dotknął dłonią jej czoła, sprawdził tętno.

- Co się właściwie stało? - próbował się dowiedzieć. Znowu ogarnęło ją to przekłete poczucie pewności.

- Kto tu mieszka? - spytała, wskazując drzwi po przeciwnej stronie podestu.

Megan wyglądała na zdezorientowaną.

- Czemu o to... To mieszkanie Charlesa, tego prawnika. Rozmawiałaś z nim dziś na przyjęciu. Wszedł wcześniej, bo w poniedziałek ma jakąś ważną sprawę w sądzie, do której musi się przygotować. Ale dlaczego...

- Ktoś w tym mieszkaniu jest poważnie chory - oznajmiła z wysiłkiem Delyth. - A może nawet umierający.

Megan potrząsnęła głową.

- Charles mieszka sam, a kiedy był u mnie, nic mu nie dolegało.

- Masz jakieś podstawy, żeby tak myśleć? - zwrócił się do Delyth James.

Oczywiście nie miała żadnych podstaw. I wiedziała, że ich zdaniem zachowuje się nedorzecznie. Może faktycznie powinna dać sobie spokój i wrócić na przyjęcie... Jednak gdy tylko o tym pomyślała, pewność powróciła ze zdwojoną siłą: ktoś potrzebuje pomocy!

- Musimy z nim porozmawiać - upierała się. - Albo przynajmniej zadzwońmy do drzwi...

- Będzie zły, że mu przeszkadzamy - mruknęła Megan. - Ale skoro nalegasz...

Zadzwonili trzy razy, lecz nikt im nie otworzył.

- Pójdę do siebie i zatelefonuję do niego - oświadczyła Megan. - Może jest w gabinecie i nie słyszy.

- Uważasz mnie za wariatkę, prawda? - spytała Delyth Jamesa, gdy zostali sami.

- Nie, wcale tak nie uważam. Myślę tylko, że możesz się mylić. Nigdy jednak nie nazwałbym cię wariatką.

Zirytował ją ten jego diabelny zdrowy rozsądek.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko poczekać i przekonać się - rzekła ostrym tonem, kończąc tę przykrą dla niej wymianę zdań.

W tej samej chwili wróciła do nich Megan.

- Telefonu też nikt nie odbiera. A przecież jestem pewna, że Charles jest w domu. Może bierze kąpiel?

- Zapewniam cię, że nie - odrzekła beznamiętnie Delyth.

Z niepewną miną Megan wyciągnęła z kieszeni klucz do mieszkania Charlesa.

- Każde z nas ma klucze do wszystkich mieszkań, na wypadek powodzi czy pożaru. Ale jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się wejść bez pozwolenia. Jeśli Charles po prostu pracuje albo śpi, nie będzie zachwycony tym najściem...

- Zadzwoń jeszcze raz - zaproponował James. - Jeśli nikt nie otworzy, wchodzimy do środka.

Ponieważ nikt nie zareagował na dzwonek, James wziął od Megan klucz i otworzył drzwi.

- Charles! Jesteś tu? - zawołała Megan. Nadal nikt się nie odezwał.

Razem weszli do przedpokoju, w którym paliło się światło. Drzwi do gabinetu były lekko uchylone. Ich oczom ukazały się półki z książkami i staromodne biurko. A na podłodze... leżał Charles - z głową w kałuży krwi.

Megan odsunęła się na bok, żeby Delyth i James mogli ukłęknać przy chorym.

- Oddycha - stwierdził z ulgą James. - Tętno słabe i nieregularne, ale wyczuwalne. Megan, dzwoń po pogotowie.

Delyth pobiegła do kuchni i przyniosła stamtąd czystą, wilgotną ściereczkę. Ostrożnie starta krew ze zranionej głowy Charlesa; rana była podłużna, lecz niezbyt głęboka.

- Rany głowy okropnie krwawią - powiedział James. - Myślę jednak, że nie stracił przytomności...

- Na blacie biurka, w samym rogu, jest krew - zauważyła Delyth. - Pewnie zawadził głową, upadając. Ale dlaczego...?

- Miał zawał - domyślił się James. - Tak płytko oddycha... Megan, przynieś tu jakieś poduszki, dobrze? Ułożymy go w pozycji półleżącej.

Podłożyli mu poduszki pod głowę i ramiona.

- Wyjdzie z tego? - spytała Megan.

- Musimy go zawieźć do szpitala. Na razie możemy się tylko modlić...

- Czy wiecie, że moi goście dalej się bawią jakby nigdy nic?

Przyjęcie skończyło się w jednej chwili, gdy tylko przyjechało pogotowie. Megan pojechała z Charlesem do szpitala, obiecując, że spróbuje się skontaktować z jego krewnymi. Delyth i James wsiedli razem do taksówki. James milczał i wyglądał na poirytowanego, postanowiła się więc nie odzywać.

- Mamy poważny problem, Delyth - oświadczył wreszcie, gdy byli już na dziedzińcu. - Śmiem twierdzić, że uratowałaś dziś Charlesowi życie.

- Oboje mu je uratowaliśmy - podkreśliła. - Zresztą najbardziej pomogli mu ci z pogotowia. O jakim problemie mówisz? - Stali naprzeciw siebie, twarzą w twarz, w świetle latarni. - Przyjęcie skończyło się tak nagle - stwierdziła, gdy jej nie odpowiedział. - Może wpadłbyś do mnie? Moglibyśmy wypić kawę i pogadać.

- Dobrze, bardzo chętnie.

Gdy weszli na górę, usiadł na jej łóżku, zdjął marynarkę i rozluźnił krawat. Ona poszła do łazienki i przebrała się w wygodny dres. Podając mu po chwili kubek kawy, spytała:

- W czym rzecz, James?

- Pewnie mi powiesz, że jakimś szóstym zmysłem wyczułaś, że Charles jest chory. Byłaś tego pewna, bo jesteś siódmą córką siódmej córki, i tak dalej w tym stylu...

- Nie mówiłam nic o siódmej córce - obruszyła się. - O tym opowiedziałam ci w formie anegdoty. Ale skoro twierdzisz, że to nie szósty zmysł, to skąd wiedziałam?

- No właśnie, skąd? Wciąż nie znamy odpowiedzi. Jak już kiedyś wspomniałem, jesteś wykształconą i kompetentną lekarką, i umiesz więcej, niż ci się wydaje. Widocznie kiedy wcześniej rozmawiałaś z Charlesem, podświadomie rozpoznałaś oznaki zbliżającego się ataku serca. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Nie mów mi jednak, że to ma coś wspólnego z jakimiś „nadprzyrodzonymi mocami”!

- Znów jesteś na mnie zły, a ja nie wiem, dlaczego - westchnęła. - Nie chodzi tylko o to, że to takie nienaukowe; chodzi o coś więcej. Powiedz mi, w czym rzecz.

Znów milczał uparcie, i już myślała, że jej nie odpowie. Jednak w końcu się odezwał:

- Jestem sierotą. Kiedy miałem dwa lata, rodzicom przydarzył się wypadek samochodowy. Ojciec zginął na miejscu, ale matka przeżyła. Kiedy miałem osiemnaście lat, poczułem, że muszę dokładnie zbadać całą tę historię. Sprawdziłem informacje w gazetach, w archiwum szpitalnym, w dokumentach rodzinnych. - Upił łyk kawy. - W szpitalu matka dostała się pod wpływ pewnego „uzdrowiciela”. Ostrzegano ją, jednak dała mu się przekonać i wypisała się. W trzy tygodnie później przywieziono ją z powrotem, i następnego dnia umarła. Formalnie przyczyną śmierci było zapalenie płuc, ale tak naprawdę

umarła wskutek zaniedbania. Zamiast podawać jej antybiotyki, ten Samozwańczy cudotwórca „kurował” ją dymem z palonych liści. Utrzymywała, że „zglebił duchową istotę jej choroby”... Chcąc go pocieszyć, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Tak mi przykro... Moja rodzina jest dla mnie wszystkim. Nie wyobrażam sobie, co bym bez nich zrobiła.

- Nieposiadanie rodziny też ma swoją dobrą stronę: uwalnia cię od przykrych obowiązków i kłopotliwych zobowiązań.

I tak oto śliczny wrześnieowy dzień zakończył się raczej smutnym akcentem...

## ***ROZDZIAŁ TRZECI***

W niedzielę rano Delyth mogła sobie pozwolić na rzadką przyjemność spędzenia dwóch dodatkowych godzin w łóżku. Polegiwała właśnie z książką w rękę, gdy zadzwoniła Megan.

- Charles ma się lepiej i jest ci bardzo wdzięczny. Skontaktowałam się z jego siostrą; dziś po południu przyjeżdża do Londynu. Muszę ci powiedzieć, moja droga, że urozmaiciłaś moje przyjęcie bardziej, niżbym sobie tego życzyła...

- Całe szczęście, że tam byliśmy.

- Całe szczęście dla Charlesa. Przyznam się, że nie rozumiem: czy ludzie zawsze tak bez ostrzeżenia mają ciężki zawał? Myślałam, że najpierw przechodzą lekkie.

- Bywa i tak, i tak. Ale zawał zabija mnóstwo ludzi, a można go dostać niemal w każdym wieku. Charles będzie musiał zmienić tryb życia.

- Nie spodoba mu się ta propozycja - mruknęła Megan i zmieniła temat. - Jak poważnie traktujesz znajomość z Jamesem? Dopiero co go poznałaś, a

chyba całkiem często się widujecie. Już ja cię znam. Przedtem nigdy nie miałaś czasu dla mężczyzn. Tym razem jest inaczej, prawda?

- Uważam, że James jest nietuzinkowy.

- Nie da się ukryć. Podobnie jak rzeźba, którą mi podarował. Nie pojmuję, jak mógł się z nią rozstać tak bez żalu... Przyznaję, siostrzyczko, że polubiłam Jamesa, ale nie wiem, czy to facet dla ciebie.

- Wyczytałaś to z jego twarzy? - W głosie Delyth pobrzmiewała ironia. - Czyżbyś widziała coś, czego ja nie widzę?

- Może się mylę. Mam taką nadzieję... Będziemy w kontakcie, siostrzyczko.

Odłożywszy słuchawkę, Delyth poszła do kuchni zrobić sobie herbatę. Wróciła z nią do pokoju i usiadła na łóżku. Uświadomiła sobie w duchu, że nie rozmyśla zbyt nad relacją z Jamesem ani nie próbuje nią sterować - co było dla niej nietypowe. Była zdecydowana pozostawić rzeczy swojemu biegowi. W głębi serca miała poczucie, że wszystko samo ułoży się tak jak trzeba. Przez poprzednie doświadczenia z chłopakami przechodziła zupełnie inaczej.

Wiedziała, że podoba się mężczyznom, i lubiła ich towarzystwo. Miała już niejednego wielbiciela, ale w żadnym z nich nie widziała mężczyzny swojego życia. Lubiała ich, miło się z nimi czuła, niektórych nawet podziwiała, żadnego jednak nie mogłaby naprawdę pokochać. Nagle zdała sobie sprawę, że z Jamesem mogłoby być inaczej.

Gnębiło ją jedynie to, że nie wiedziała, co on do niej czuje. Oczywiście lubił ją i chyba mu się podobała, ale czy to wszystko? Poczwała, że zaczyna rozumieć, co ludzie mają na myśli, gdy mówią, że miłość potrafi ranić i boleć. Nigdy przedtem jej to nie spotkało, ale James mógł wiele zmienić w jej życiu...

Uznała, że wypadałoby go zawiadomić o stanie Charlesa. Wiedziała, że jest na oddziale, więc zostawiła tam wiadomość. Godzinę później James oddzwonił - na co w głębi duszy liczyła.

- Cieszę się, że z Charlesem już lepiej. Chcę też powiedzieć, że mimo wszystko świetnie się bawiłem na przyjęciu. No i fajnie było bliżej poznać Megan. Naprawdę oprócz was dwóch jest jeszcze pięć równie uroczych dam?

- Naprawdę. Plus nasza mama. Kiedyś musisz poznać je wszystkie.

- Z największą przyjemnością. Ale na razie... Dziś wieczorem mam zebranie w innym szpitalu. Co powiesz na małego drinka jutro? O dziewiątej w klubie?

Błyskawicznie zebrała myśli.

- Bardzo chętnie, tylko nieco później. Jutro znów słucham jazzu w pubie. Wyjątkowa okazja, bo występuje zespół z moich rodzinnych stron.

- Z Walii? - spytał James z komicznym niedowierzaniem w głosie.

- Owszem, co się tak dziwisz? Walijczycy to muzycalni ludzie.

- Nie wątpię... Ale skoro masz się zobaczyć z przyjaciółmi, to może przełożmy nasze spotkanie na pojutrze?

- Nie - odparła bez wahania. - Bardzo chcę się z tobą zobaczyć. - Aż usiadła, przerażona swą szczerością.

- Więc jutro o wpół do jedenastej, dobrze? Teraz muszę wracać do pacjentów.

Mam nadzieję, że nie uważa mnie za nieopierzoną gęś, która rzuca się w ramiona starszym lekarzom, pomyślała. Ale nie - była pewna, że nie.

- Birdie chce się wypisać - oznajmiła nazajutrz młodsza pielęgniarka. - Mówi, że ma już po dziurki w nosie leżenia w łóżku.

Delyth podniosła głowę znad pliku sprawozdań i zmarszczyła brwi. Oczywiście, pacjenci mają prawo się wypisać w każdej chwili. Większość stosowała się do zaleceń lekarza, lecz niektórych - zwłaszcza narkomanów - ciągnęło z powrotem na ulicę. Po jakimś czasie przeważnie znów trafiali do szpitala, tyle że w znacznie gorszym stanie. Na szczęście Birdie, mimo że był włóczęgą, nie był chyba narkomanem.

- Podał jakiś konkretny powód?

- Twierdzi, że ma coś do załatwienia, ale nie chce powiedzieć co.

- Porozmawiam z nim. - Delyth westchnęła. - Przecież w jego stanie po prostu sam sobie nie poradzi.

Birdie wszakże był innego zdania.

- Nie możecie zatrzymać mnie tu siłą - protestował. - Nie macie prawa. Jeśli trzeba, będę przychodził na zmianę opatrunków. Lepiej oddajcie moje łóżko jakiemuś biedakowi, który naprawdę go potrzebuje.

- Sam jesteś tym biedakiem, Birdie. Czy nie rozumiesz, że byłeś o krok od śmierci? Jesteś jeszcze bardzo osłabiony. Potrzebujesz odpoczynku.

W oczach Birdiego rozbrzmiał lęk, ale już po chwili spojrzał na Delyth typowym dla siebie, szklanym wzrokiem.

- Mam powody, żeby stąd wyjść - mruknął. Delyth nie ustępowała.

- A jakież to powody, jeśli wolno spytać? Bo przecież nie rodzina, prawda? Mówiłeś, że straciłeś z nimi kontakt.

- Bo straciłem. Tu chodzi... o kogoś w rodzaju rodziny. - Birdie, uliczny cwaniak, zaczerwienił się po same uszy. - Chodzi... o mojego psa. Wabi się Reginald.

- Reginald? - Delyth z trudem powstrzymała uśmiech.

- Przecież musiałem go jakoś nazwać. Tak czy owak, zwykle śpimy w tym przejściu podziemnym pod Marble Arch. Jasne, że przez parę dni będzie się tam kręcił, a kumple dadzą mu coś do żarcia. Ale jeśli długo nie wrócę, to odejdzie...

- W szpitalu nie możemy go trzymać.

- Wiem. I dlatego chcę wyjść.

- To by cię zabiło... Poleż teraz spokojnie i pozwól mi się zastanowić.

Musi być jakieś rozwiązanie.

A to ci dopiero medyczny problem, zakpiła dobrodusznie w myślach. Pół godziny później wróciła do Birdiego.

- Jak często karmisz Reginalda? Birdie wzruszył ramionami.



- Dzielę się z nim po połowie. Fakt, że to żadna uczta...

- Myślisz, że gdyby regularnie dostawał jedzenie, to zostałby w tym przejściu?

- Chyba tak, ale niby jakim...

- Czy gdybym dała trochę pieniędzy jednemu z twoich kumpli, to karmiłby codziennie psa?

- Andy na pewno. Ja jednak nie mam żadnych...

- Pożyczę ci pieniądze. Dam je Andy'emu i poproszę, żeby dbał o Reginalda. Temu Andy'emu można zaufać?

- Co za pytanie! - obruszył się Birdie. - Jeśli chodzi o psa, to jak najbardziej. Też ma swojego, to wie, jak to jest. Ale niby czemu miałyby mi pani pożyczać pieniądze? Przecież jestem wyrzutkiem, żebrakiem...

Teraz ona wzruszyła ramionami.

- To na psa. Jak będziesz miał, to mi kiedyś oddasz. Przyjrzał jej się uważnie.

- Żeby pani wiedziała, że oddam. Nie od razu, ale oddam.

Podczas przerwy na lunch Delyth pojechała taksówką do Marble Arch, a następnie zeszła do podziemnego labiryntu.

Odnalazła Andy'ego w miejscu, które opisał jej Birdie. Był wychudzonym mężczyzną z brodą i długimi przetłuszczonymi włosami, ubranym w zniszczony mundur wojskowy. Siedział na ziemi, otaczając ramieniem psa o skotłowanej i matowej sierści. Gdy spytała go o imię, spojrzał na nią zdumiewająco inteligentnym wzrokiem.

Wyjaśniła mu, kim jest i co dzieje się z Birdiem. Wspomniała, jak bardzo niepokoi się on o Reginalda. Na koniec podała Andy'emu trzy banknoty pięciofuntowe.

- Dziesięć na jedzenie dla psa, reszta dla pana.

Andy zwrócił jej jeden banknot i z kurtuazją powiedział:

- Dziękuję za opiekę nad Birdiem i za to, że zechciała się pani tu pofatygować. Przyjmę pieniądze najedzenie dla psa, ale mnie nie ma potrzeby wspierać przy tej okazji.

Z powrotem wcisnęła mu banknot do ręki.

- Wobec tego proszę za to kupić coś dla swojego psa.

Znów złapała taksówkę i wróciła do pracy. Cała wyprawa zajęła jej dwadzieścia minut. Gdy opowiedziała o wszystkim Birdiemu, twarz mu pojaśniała ze szczęścia.

Wiele osób ze szpitala uznałoby jej postępowanie za naiwne lub niepotrzebne. Ona jednak była z siebie zadowolona.

- Czy mogłaby pani doktor porozmawiać z panią Webster? - spytała ją na korytarzu pielęgniarka. - Nic dzisiaj nie jadła. Jest... podenerwowana.

Okazało się, że panią Webster odwiedził wcześniej onkolog. Wyniki badań potwierdziły to, co wszyscy po cichu podejrzewali - że nowotwór jest złośliwy. Teraz panią Webster czekało wycięcie guzka, a następnie radioterapia.

Kiedy Delyth weszła do jej pokoju, kobieta podniosła głowę z poduszki; z oczu płynęły jej łzy.

- Czego pani doktor chce? Nie zgadzam się już na żadne badania. Mam dość.

Delyth zetknęła się już i z rozpaczą, i z płynącą z niej często agresją. Przysiadła na łóżku pacjentki i odparła łagodnie:

- Przyszłam, żeby spytać, jak się pani czuje. Czemu nic pani dziś nie jadła?

- A po co mam jeść, skoro i tak umrę? Mieli mi tylko zoperować żyłki. Gdybym wiedziała, że to się tak skończy, wcale bym tu nie przyszła.

- Nikt nie twierdzi, że pani umrze. Naturalnie, jest pani bardziej chora, niż się wydawało, ale w porę to wykryliśmy. Na pani miejscu pozwoliłabym sobie na optymizm.

- Nie jest pani na moim miejscu. I nie ma pani męża. Co będzie z Harrym, jak mnie zabraknie?

- Nie ma potrzeby myśleć o śmierci. Jednak żeby żyć, musi pani jeść.

Może przyniosę pani kanapkę?

- Przecież podobno mam nadwagę, to po co mnie jeszcze bardziej tuczyć?

Delyth zdawała sobie sprawę, że na razie pani Webster jest niezdolna do rzeczowej i rozsądnej wymiany zdań - była zbyt przerażona.

- Poproszę pielęgniarkę, żeby przyniosła pani coś do przegryzienia. Od razu się pani lepiej poczuje.

Wyszędłszy na korytarz, głęboko westchnęła - zmęczyła ją ta rozmowa. Medycyna nie polega tylko na przepisywaniu leków, przypomniała sobie w duchu.

Wieczorem jak na skrzydłach pobiegła do pubu i weszła do niewielkiego pomieszczenia, w którym muzycy rozpakowywali swe bagaże. Lider zespołu, Alex Llewellyn, ogromnie ucieszył się na jej widok, podobnie jak pozostali. Swego czasu często się widywali, ale z upływem lat ich ścieżki się rozeszły.

- A gdzie Meriel? - spytała, mając na myśli wokalistkę.

- Niestety, odeszła od nas - odparł ze smutkiem Alex. - Zbija majątek w jakiejś firmie komputerowej. Teraz, kiedy pracujemy, nie gramy już tak często jak dawniej. Zostaniesz na przyjęciu po koncercie?

- Przykro mi, nie mogę. Rano muszę być w szpitalu. Podczas gdy zespół przygotowywał się do występu na scenie,

Delyth usiadła obok Matta, pośród grupy znajomych, którzy regularnie chodzili na wieczorne koncerty jazzowe. Gdy spytał ją, czego się napije, poprosiła o lemoniadę imbirową.

- Słyszałem, że w sobotę miałaś randkę z Owenem - zauważył z pozoru obojętnie.

- Zabrałam go do siostry na przyjęcie.

- Szczęściarz z niego... - W jego głosie nie było jednak złośliwości.

Z przyjemnością słuchali koncertu. W odróżnieniu od poprzedniego, ten zespół nie grał jazzu tradycyjnego. Muzyka była spokojniejsza, nastrojowa.

- Ja zamawiałem - rozległ się męski głos. - Zgadza się, lemoniada imbirowa. Zresztą, ja też się napiję.

Gdy podniosła głowę, ujrzała przed sobą... Jamesa! Poczowała, że serce wali jej młotem i że zasycha jej w ustach. Była tak zaskoczona, że nie mogła wykrztusić słowa.

Był ubrany w dzinsy i błękitną bawełnianą koszulkę. Mimo że w sali panował półmrok, dostrzegła ciemne włosy na jego dłoniach, zarys ładnie umięśnionego torsu, telefon komórkowy przymocowany do paska spodni. Pewnie głupio wyglądałam z tymi półotwartymi ustami, przemknęło jej przez myśl. Widziała go niecałe czterdzieści osiem godzin wcześniej, a jednak na jego widok zaniemówiła.

- Znajdzie się tu dla mnie miejsce? - zapytał z urzekającym uśmiechem.

Siadając, skinął do innych głową na powitanie i oznajmił, że ostatnim razem tak dobrze się tu bawił, że nie mógł sobie odmówić ponownego przyjścia. Wszyscy przyjęli jego uwagę z uśmiechem; tylko Matt rzucił Delyth nieprzyjemne spojrzenie.

- Mieliśmy się spotkać dopiero o wpół do jedenastej - zwróciła się do Jamesa.

- Przepraszam za to najście, ale ostatnio było tu tak miło... Chyba nie masz mi za złe?

- Ależ skąd! Nie ma za co przeproszać, każdy może tu przyjść. Wszyscy się cieszymy, że jesteś.

Położył jej dłoń na ramieniu. Przeszył ją dreszcz.

- Nawet nie wiesz, jak ja się z tego cieszę... No ale teraz posłuchajmy.

Gdy zespół odegrał swoją własną, ciekawie zaaranżowaną wersję standardu „Sweet Georgia Brown”, rozległy się rześiste brawa.

- Naprawdę miło, że przyszedłeś - powtórzyła Delyth z uśmiechem. -

Muzyka Alexa powinna ci się podobać.

- Muzyka to tylko dodatek; przyszedłem tu dla ciebie. Czy nasz wspólny drink w klubie jest wciąż aktualny?

- Oczywiście - odparła bez wahania.

Następny utwór także został przyjęty z entuzjazmem. Alex podziękował publiczności za uwagę i ciepłą, przyjazną atmosferę. Potem zaś stwierdził:

- Sporo osób pytało o Meriel, naszą niegdysiejszą wokalistkę. Ze smutkiem oznajmiam wszem i wobec, że pracuje teraz w firmie komputerowej i już z nami nie śpiewa. Ale w sali jest ktoś, kto również kiedyś z nami śpiewał. Mam zaszczyt zaprosić tę osobę do nas, na scenę. Panie i panowie: Delyth Price!

Po raz drugi tego wieczoru Delyth przeżyła wstrząs. Zaskoczona, nie podniosła się z miejsca, więc skierowano na nią światło reflektora. Ludzie odwrócili głowy w jej stronę.

James był nie mniej zaskoczony niż ona.

- Więc potrafisz śpiewać?

- Owszem, zaraz się przekonasz - odrzekła, wstając.

Nie była zdenerwowana - wprawdzie dawno nie występowała publicznie, ale na scenie czuła się zawsze jak ryba w wodzie.

- Powinniście byli mnie uprzedzić - szepnęła z udawanym gniewem do Alexa, wchodząc na estradę.

- Powinnaś więcej śpiewać; marnujesz się. Jesteś co najmniej tak samo dobra jak Meriel. Co zaśpiewasz?

- „Summertime”.

- Fantastycznie. No to zaczynamy.

Uwielbiała ten utwór i już nieraz go z nimi wykonywała. Nie należał do łatwych i zawsze wywierał duże wrażenie na słuchaczach. Tak, zamiast medycyny mogła wybrać karierę pieśniarki.

Gdy skończyła, nagrodzono ją burzą oklasków. Publiczność domagała się bisu, lecz Alex nie chciał jej nadmiernie wykorzystywać. Zapaliły się górne światła i Delyth wróciła do przyjaciół.

Matt i jego dwaj koledzy hałaśliwie wychwalali ją pod niebiosa. James uśmiechał się, lecz nic nie mówił. Dopiero gdy usiadła obok niego, szepnął:

- Byłaś cudowna! Czym jeszcze mnie zaskoczysz?

- Nie wiesz o mnie wielu rzeczy - odrzekła z zagadkowym uśmiechem i spojrzała na zegarek. - Jest piętnaście po dziesiątej. To jak, idziemy do klubu?

- Więc nie chcesz tu zostać? - zdziwił się.

- Wcześniej postanowiłam, że wyjdę o tej porze. A więc?

Gdy wychodzili, kątem oka zobaczyła, że Matt przygląda im się z ponurą miną.

- Coś tak zamilkł? - spytała Jamesa już na ulicy.

- Myślę o twoim talencie. Czemu mi nie powiedziałaś, że masz taki wspaniały głos?

- Jakoś nigdy nie było okazji. Ni stąd, ni zowąd miałabym powiedzieć: „Wiesz, mam wspaniały głos”? To ma niewiele wspólnego z medycyną.

- Nigdy nie chciałaś zająć się tym profesjonalnie?

- Trochę, kiedyś. Wiesz, że cała moja rodzina ma uzdolnienia artystyczne i zajmuje się taką lub inną dziedziną sztuki. Ja jedna się z tego wyłamuję... Siostry uważają mnie za dziwaczkę. Ale jak już wspominałam, od dziecka wiedziałam, że zostanę lekarzem.

- Tak mało o tobie wiem...

- Nic w tym dziwnego, znamy się raptem od pięciu dni.

- Rzeczywiście! - wykrzyknął ze zdumieniem. - Ja jednak czuję się tak, jakbym cię znał od wieków. - Uścisnął jej dłoń. - To do mnie niepodobne...

- Wiem. Wszyscy, z którymi rozmawiałam w szpitalu, przyznają, że trochę się ciebie boją. Uważają cię za świetnego lekarza, ale mówią, że jesteś

„nawiedzony” i że nie dajesz ludziom prawa do popełniania błędów. Nie cierpią, kiedy masz im coś za złe.

- Dzięki za wyczerpujące studium mojego charakteru - rzekł z ironią. -

Czy ty też się mnie boisz?

Doszli już do „Saracen's Head”.

- Nie, nie boję się - odparła powoli, kierując się ciemnym korytarzykiem ku sali klubowej. - A wiem, że powinnam. Zwykle obawiam się osób o wyższej pozycji, więc czemu ty mnie nie przerażasz?

- Bo się starzeję i źle ze mną - orzekł. - Zapewniam cię, że kiedyś było inaczej.

Weszli do klubu. W rogu sali Delyth spostrzegła grupkę pielęgniarek w starszym wieku, które nie żałując sobie alkoholu, hałaśliwie świętowały jakąś okazję. Pomachały do Jamesa, a on odwzajemnił ten gest.

- Przyłączcie się do nas! - wykrzyknęła jedna z nich, czterdziestoletnia kobieta o nieco zaciętym wyrazie twarzy.

James pokręcił głową.

- Nie przyszliśmy tu dla zabawy, mamy ważne sprawy do omówienia.

Pozostałe panie przyjęły do wiadomości jego odpowiedź, ale ta, która do nich zawołała, zrobiła nadąsaną minę.

- Jak sobie chcecie, wasza strata... Gdy usiedli, Delyth szepnęła do Jamesa:

- No, no, kłamiesz jak z nut. Nie miałeś ochoty się do nich przysiadać, co?

- Nic gorszego jak siedzieć z pijanymi, gdy samemu jest się trzeźwym.

Zamówię coś do picia i pogadamy sobie spokojnie.

Patrząc, jak podchodzi do baru, kątem oka spostrzegła, że pielęgniarka o surowej twarzy nieprzyjaźnie mu się przygląda. Nie rozumiała dlaczego. Gdy wrócił do stolika, poczuła, że musi mu coś wyznać.

- Powiedziałałam, że się ciebie nie obawiam, choć wiem, że potrafisz napędzić ludziom stracha. I mimo że bywam nieśmiała, z tobą czuję się dobrze i swobodnie. Po prostu ja...

- Tylko mi nie mów, że to jakieś czary. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Czujesz się ze mną tak samo, jak ja czuję się z tobą. Podobamy się sobie i lubimy się nawzajem. To cudowne, i myślę, że świat jest dzięki temu lepszy i piękniejszy. Ale zasadniczo to tylko feromony, zwykły zwierzęcy popęd... Dała mu kuksańca.

- Nie wyskakuj mi tu z chemią. Jestem czymś więcej niż istotą biologiczną. I coś mi mówi, że... moje miejsce może być przy tobie. Z nikim przedtem tego nie czułam.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Mówisz serio, prawda? Ja jednak jestem człowiekiem nauki, racjonalistą, tak samo zresztą jak ty. Nie ufam koncepcjom mistycznym.

- Oczywiście, że mówię serio, i wiem, że to nienaukowe. Próbowałam się pozbyć tych doznań i przekonań, ale one są częścią mnie.

- I tak cię lubię - powiedział, obejmując ją w tali. Od razu zrobiło jej się lżej na duszy.

Podchmielone pielęgniarzki zaczęły głośno zbierać się do wyjścia. Ponura czterdziestolatka znów pomachała Jamesowi ręką, ale w jej uśmiechu było coś złowrogiego.

- Czy kiedykolwiek wypiełeś za dużo? Chodzi mi o to, czy piłeś kiedyś dlatego, że musiałeś.

Nie wiedziała, czemu o to spytała, i spodziewała się, że James natychmiast zaprzeczy. On jednak zastanawiał się tylko przez chwilę, zanim powiedział:

- Był czas, że z trudem opierałem się pokusie. Gdy przytłaczają cię zmartwienia i problemy, łatwo jest sięgnąć po kieliszek, jeden, drugi, trzeci... I



przychodzi taki moment, że zaczynasz się śpieszyć do domu, żeby wreszcie sobie łyknąć.

Zdumiało ją to - James sprawiał wrażenie kogoś, kto nigdy nie traci kontroli.

- Chyba... nie wpadłeś w nałóg?

- Nie - odrzekł ze śmiechem. - Ale kiedyś zdałem sobie sprawę, że jeśli nie będę się pilnował, to mogę mieć kłopoty.

Niesympatyczna pielęgniarka wystawiła głowę zza drzwi i wykrzyknęła:

- Znikamy stąd, więc dobranoc! - Spojrzała Jamesowi prosto w oczy. - Żegnaj, aniele.

Po chwili milczenia Delyth odezwała się pierwsza:

- Zwykle nie okazujesz uczuć, prawda? Umiesz zachować kamienną twarz. A jednak kiedy ona nazwała cię „aniołem”, na twojej twarzy pojawił się grymas bólu. Dlaczego? Jeśli nie chcesz, możesz nie odpowiadać.

- To Meg Bentley, siostra przełożona. Znam ją od lat, choć niezbyt dobrze. Kiedy wytrzeźwieje, będzie jej przykro, że to powiedziała.

- O ile w ogóle będzie cokolwiek pamiętać... Powiedziała to złośliwie, żeby cię zranić.

- Owszem. - Opróżnił szklanekę i odstawił ją głośno na stół. - Przez sekundę kusilo mnie, żeby napić się whisky. Co za głupi pomysł. - Odchrząknął.

- Prędzej czy później i tak byś się dowiedziała, więc wolę sam ci to powiedzieć. Nazywają mnie... Aniołem Śmierci.

- Jak na lekarza, to dość dziwne przezwisko.

- Swego czasu miałem się ożenić z pewną lekarką - ciągnął z pozoru beznamiętnie. - Nazywała się Erin Shaw. Byliśmy ze sobą od osiemnastego roku życia. Kochałem ją.

Ku swemu niezadowoleniu poczuła zazdrość, którą wszakże zdołała opanować.

- Więc co się stało?

- Umarła... Oboje ciężko pracowaliśmy, więc myślała, że to tylko przemęczenie. Co za ironia losu, prawda? Wykrywać i leczyć choroby innych, a nie zauważyć, że samemu jest się chorym... Okazało się, że miała białaczkę. Po trzech miesiącach pożegnała się z życiem.

Była wstrząśnięta zarówno samą historią, jak i sposobem, w jaki ją opowiedział. Choć twarz miał niewzruszoną, wyczuła, że bolesne wspomnienia powróciły do niego z całą mocą.

- Kiedy to było?

- Dawno, ponad osiem lat temu.

Zamierzała pocieszyć go jakimś banalnym stwierdzeniem, na przykład, że czas goi wszystkie rany, ale się rozmyśliła. Bacznie mu się przyglądając, spytała:

- To jeszcze nie wszystko, prawda?

- Niestety, nie... Pogodzenie się ze śmiercią Erin zajęło mi dużo czasu. Żeby nie myśleć, harowałem jak wół. Po jakimś czasie zaprzyjaźniłem się z miłą dziewczyną, Hilary Tennyson. Była pielęgniarką. Znała Erin i pomagała mi się nią opiekować podczas choroby. Dzięki niej znów zacząłem cieszyć się życiem. Zamieszkaliśmy razem i wtedy... potrafiła ją ciężarówka. Kierowca uciekł, a ona już nie odzyskała przytomności. Umarła po trzech dniach. - Gorzko się uśmiechnął. - Umawianie się ze mną może być niebezpieczne, Delyth. Kobiety, które kocham, umierają. Dlatego nazwano mnie Aniołem Śmierci, i przyzwisko to przyłgnęło do mnie.

Patrzyła na niego w milczeniu.

## ***ROZDZIAŁ CZWARTY***

Pracowała wprawdzie ciężko, ale czuła, że czegoś się uczy. Choć wiedziała, że zawsze może się z kimś skonsultować, coraz częściej starała się sama podejmować decyzję. Gdy po dwóch dniach wolnego wróciła do szpitala, pomyślała, że doba powinna by mieć dla niej co najmniej czterdzieści osiem godzin. Teoretycznie miała normowany czas pracy, ale jeśli było coś do zrobienia, musiała to po prostu zrobić.

Siedemdziesięcioletni chory na serce Frank Allison zerknął na nią podejrzliwie.

- Nigdy się z czymś takim nie spotkałem! Żeby wkładać człowiekowi jakąś maszynkę do środka i zostawiać ją tam jakby nigdy nic... I mówi pani, że to na baterie? Wszystkie baterie, z jakimi miałem do czynienia, wyczerpywały się po miesiącu. Nie zamierzam co miesiąc dać się kroić...

- To specjalne, bardzo drogie baterie. Starczą na jakieś dziesięć lat. Zapewniam, że z rozrusznikiem czuje się pan o niebo lepiej.

- Więc dlaczego od razu tego nie zrobiliście, nic mi nie mówiąc?

- Musi pan wyrazić na to zgodę.

- A jest pani doktor pewna, że nie stanie się nic złego?

- Jakieś ryzyko zawsze istnieje. Ale aż jedna osoba na dwa tysiące żyje z rozrusznikiem i ma się dobrze.

- Jak to konkretnie będzie wyglądało?

- Nie ma potrzeby robić znieczulenia ogólnego, więc zastosujemy miejscowe. Podamy też panu jakiś środek na uspokojenie. Wszystko to potrwa nie dłużej niż godzinę. Potem dostanie pan kartę informującą, że ma pan rozrusznik. Niektórzy noszą bransoletkę z wygrawerowaną na niej informacją.

- Nie włożę żadnej bransoletki! Niedługo każecie mi chodzić w kolczykach...

Wiedziała, że uroczy starszy pan tylko się z nią przekomarza.

- Byłoby w nich panu do twarzy. Ale nie są konieczne, a noszenie bransoletki nie jest obowiązkowe. Zobacz pan, że po operacji niemal natychmiast poczuje pan różnicę.

- Nie będę ciągle zmęczony?

- Na pewno mniej niż dotychczas.

- A więc zgoda. To gdzie mam podpisać?

Wręczyła mu odpowiedni formularz. Uznała, że dobrze wywiązała się ze swego zadania, gdyż udzieliła pacjentowi niezbędnych informacji, zarazem nie wywierając na niego presji.

Od czasu do czasu widywała Jamesa na oddziale - zawsze jednak pędził jak nawiedzony przed siebie. Uśmiechał się do niej, tak jakby mieli jakąś wspólną tajemnicę, a ona odwzajemniała uśmiech. Pewnego razu zadzwonił do niej.

- Wiem, że brak ci czasu nawet na jedzenie i sen, nie mówiąc już o kąpieli, ale może udałoby ci się wygospodarować jakieś pół godzinki na drinka w klubie?

Od tamtej pory spotykali się tam zawsze, gdy tylko mogli. Po prostu spędzali wspólnie czas. Przebywanie w jego towarzystwie było wszystkim, czego potrzebowała. Dziwne były te ich krótkie spotkania. Oboje podejrzewali, że ta znajomość mogłaby się w coś przerodzić, ale żadne nie wiedziało w co. Mieli też świadomość, że potrzeba im czasu.

Wreszcie, po dwóch tygodniach harówki, Delyth dostała dwa dni wolnego.

- W środę i w czwartek, czyli w środku tygodnia. Ale wolne to zawsze wolne.

- Co zamierzasz robić? Umówisz się z Megan?

- Będę spać i spać, i spać. Potem zrobię pranie, wysprzątam pokój, napiszę listy. I może nawet trochę poczytam.

- Świetny pomysł. Jednak na to wszystko wystarczy ci środa. Słuchaj, kiedy ostatnio byłaś na świeżym powietrzu?

- W Londynie go nie produkują... Zdażyłam już przywyknąć do spalin i tlenku węgla.

- Tak też myślałem... Wiesz, w czwartek po południu mógłbym wziąć wolne. Zanosi się na niezłą pogodę. Włóż spodnie i wygodne buty, a zaproszę cię na małą wycieczkę. Wpadłbym po ciebie o pierwszej. - Zmarszczył brwi. - Chyba lubisz przechadzki, prawda?

- Oczywiście. Jako prosta wiejska dziewczyna jestem do nich przyzwyczajona.

- To znakomicie. I tym razem przyjmujemy pewną zasadę: żadnych rozmów o medycynie.

- Uważasz, że to możliwe?

- Uhm. I w ogóle nie będziemy mówić o niczym przygnębiającym.

Zrozumiała, co miał na myśli - nie chciał rozmawiać o swojej przeszłości.

Na peryferiach Londynu, dokąd ją zabrał James, była po raz pierwszy. Ze stacji Waterloo pojechali do Kingston-on-Thames, a potem spacerkiem zawędrowali aż do Hampton Court Palace. Rozmawiali o historii, podziwiali stare budowle i czuli się jak turyści. Następnie, również piechotą, udali się do Richmond Park.

- Spacer z tobą to świetna gimnastyka - uznała.

- Gdyby ludzie mniej jeździli, a więcej chodzili, w szpitalach nie byłoby aż tyle roboty.

- A mieliśmy nie mówić o medycynie...

Spacer po trawie, wśród drzew, pomiędzy którymi mignęła im sarenka, sprawił, że poczuła się, jakby naprawdę była na wsi - mimo że w oddali majaczyły potężne wieże miasta.

Przyjemnie zmęczeni, weszli do baru na herbatę.

- Podobała mi się ta wycieczka. Właśnie tego mi było trzeba. I wiem, czemu to zrobiłeś: żeby mi przypomnieć, że oprócz medycyny na świecie jest też wiele innych rzeczy.

Wyciągnął rękę przez stół i uściskał jej dłoń.

- Musiałem ci o tym przypomnieć. Ja sam kiedyś o tym zapomniałem. Ucz się na moich błędach.

- Nie wyobrażam sobie ciebie popełniającego błędy...

- Wszyscy je popełniamy, nie ma na to rady.

Gdy wrócili do miasta, ponownie podziękowała mu za mile spędzony czas. I zaraz dodała:

- Ale myślę, że to jeszcze nie koniec tego uroczego dnia?

- Pewnie, że nie. Teraz zapraszam cię na kolację: albo do restauracji, albo do mnie. Jak wolisz?

Wyczuła, że zaproszenie, z pozoru zwyczajne, w istocie wcale takie nie jest. Gdy zdecydowała, że pójdzie do niego, wiedziała, że podjęła pewne ryzyko.

- Chętnie do ciebie wpadnę - powiedziała - ale najpierw się przebiorę. Zajmie mi to jakąś godzinę.

- A więc zjawię się po ciebie o siódmej.

- Nie trzeba, sama do ciebie trafię.

Wróciwszy do siebie, wzięła prysznic i umyła włosy, które zamierzała zostawić rozpuszczone. Włożyła jedwabną bieliznę i szarą sukienkę zapinaną na suwak. Na koniec dyskretnie się umalowała. Wszystko to robiła jakby podświadomie, bez udziału woli. Wcale się nie zastanawiała, co może przynieść ten wieczór.

James mieszkał w domu należącym do szpitala, a oddalonym od niej o zaledwie pięć minut drogi. Naciskając dzwonek, przeżyła chwilę niepewności, lecz intuicja powiedziała jej, że wszystko będzie dobrze.

Był ubrany w ciemne spodnie i białą koszulę i miał jeszcze wilgotne włosy. Jak zwykle, wyglądał bardzo atrakcyjnie. W jego oczach zobaczyła, że i ona mu się podoba. Jego pełne podziwu spojrzenie rozwiało jej ostatnie wątpliwości - cieszyła się, że przyszła.

Gestem ręki zaprosił ją do środka.

- Ślicznie wyglądasz. I mam nadzieję, że jesteś głodna. Zjemy za pół godziny. A na razie czegoś się napijmy.

Zaprowadził ją do salonu o kremowych ścianach, z czekoladowym dywanem na podłodze. Usiadła na kanapie, a on otworzył butelkę wina. Zmarszczywszy brwi, rozejrzała się po pokoju: telewizor, wieża, półka z książkami, głównie medycznymi.

- Kolor ścian i zasłony są takie same jak w szpitalu - zauważyła niemal z wyrzutem.

Wzruszył ramionami.

- Przecież to nie jest prawdziwy dom. Tylko tu mieszkam i pracuję. W Afryce miałem jeszcze skromniejszy pokój, i bardzo mi to odpowiadało.

- Ale to wszystko jest takie... bezosobowe. Nie masz żadnych obrazków, żadnych zdjęć.

- A po cóż mi one? - zdziwił się szczerze. - Przywoływałyby tylko bolesne wspomnienia... Nigdzie długo nie zagrzewam miejsca i lubię podróżować z jak najlżejszym bagażem. Gdyby zaproponowano mi pracę w Ameryce, jutro rano byłbym gotów do wyjazdu. Nie mam nawet samochodu.

- Pozostałe pomieszczenia też są takie? Mogę się trochę rozejrzeć?

- Proszę bardzo, ale się rozczarujesz.

Matka powiedziała jej kiedyś, że urządzenie domu wiele mówi o charakterze zamieszkującego go człowieka. Ale z tego mieszkania nie dowiedziała się niczego. I może właśnie o to chodziło...

W sypialni stało podwójne łóżko, na którym igrały promienie słońca, przenikające przez żaluzje. W pokoju gościnnym stały jakieś torby i walizki, w

jadalni miejsca starczało akurat dla dwojga. Wszystko było schludne i absolutnie bez wyrazu - jak w pokoju hotelowym.

- Przyznam się, że nie rozumiem. Jesteś człowiekiem o szerokich zainteresowaniach, a nie masz tu nawet beletrystyki.

- Literaturę piękną mogę wypożyczyć z biblioteki. Poza tym, nie chcę otaczać się rzeczami i być od nich zależny. Nie chcę zapuszczać korzeni...

- Chyba rozumiem, ale to sprawia wrażenie takiej pustki, wręcz nicości... Tak jakbyś chciał się wtopić w tło i ukryć...

Nic na to nie odpowiedział. Gdy weszli do kuchni, z zaciekawieniem zajrzała przez szybkę do piekarnika.

- Wprost umieram z głodu. Dostanę tę kolację czy nie? Piecyk jest pusty, a przecież jedzenie samo tam nie wyrośnie.

- Zapomniałem, że jesteś „prostą wiejską dziewczyną”. Na pewno umiesz świetnie gotować.

- Żebyś wiedział. A mój ojciec ma szklarnię. Ktoś zadzwonił do drzwi.

- W samą porę - ucieszył się James. - Wprawdzie kiepski ze mnie kucharz, ale potrafię korzystać z telefonu.

Otworzywszy drzwi, powrócił do niej w towarzystwie drobnego człowieczka niosącego dużą tacę. Człowieczek zwinnie umieścił owinięte folią porcje w piekarniku i w lodówce, po czym natychmiast zniknął.

- To mój dobry znajomy, pan Hung - poinformował ją.

- A więc mnie oszukałeś...

- Wcale nie. W przeciwieństwie do mnie pan Hung wspaniale gotuje. Ja z kolei znam się na wycinaniu wyrostka. Uważam, że to sprawiedliwy podział pracy. Nie jesteś ciekawa, co będziemy jeść?

Wzięła do ręki elegancko wydrukowane menu, które pan Hung dyskretnie zostawił na stole: kurczak po kajeńsku z sałatą; melon z owocami cytrusowymi i sorbet porzeczkowy; lody śmietankowe oraz świeże truskawki i maliny.

- Pyszne - orzekła, gdy skończyła jeść. - I wino też mi bardzo smakuje.



Otworzył drugą butelkę i włączył muzykę. Zrezygnowawszy na razie z kawy, usiedli obok siebie na kanapie. Kiedy ją objął, bez oporu położyła mu głowę na piersi.

- Cudowny dzień - powiedziała. - Nadzwyczajny. Uniosła głowę i pocałowała go w policzek. Przytulił ją mocniej do siebie.

- Ja też już dawno nie spędzałem tak miło czasu. A najważniejsze, że spędziłem go z tobą...

Wiedziała, co stanie się dalej, ale przecież nie było pośpiechu - mają przed sobą tyle godzin...

Wszystkimi zmysłami była świadoma jego obecności. Przez cienką koszulę czuła jego mięśnie, ciepło jego ciała. Nie umiałaby powiedzieć, czyje serce bije szybciej i głośniej - jej czy jego. Opuścił nieco głowę, ocierając się zarostem o jej policzek. Owionął ją przyjemny zapach drogiej wody kolońskiej.

Delikatnie całował jej czoło, powieki, policzki. Gdy dotarł do warg, pocałunki stały się bardziej niecierpliwie, namiętne. Błądził ręką po jej szyi, ramionach, wreszcie piersiach. I było to absolutnie cudowne...

- Połóżmy się, będzie nam wygodniej - szepnął.

Tak, chciała tego; chciała dojść do punktu, od którego nie będzie już odwrotu.

- Dobrze, więc chodźmy do sypialni.

- Jesteś pewna...?

- Oczywiście. Jestem już dużą dziewczynką.

W sypialni panował półmrok; na dworze powoli zapadał zmierzch. Mimo to w oczach Jamesa dostrzegła błysk pożądania. Nie chciała tylko biernie poddawać się jego pieścizotom - przecież wspólnie to przeżywali. Rozpięła mu koszulę, a on rozsunął jej zamek błyskawiczny na plecach. Spojrzał na nią z zachwytem, gdy została w samej bieliźnie - którą włożyła... specjalnie dla niego?

Kiedy byli już nadzy, z lekkością wziął ją na ręce i położył na łóżku. Wyciągnęła się zmysłowo, splatając dłonie pod głową i zamykając oczy. Zupełnie bezbronna, ofiarowała mu się bez reszty, i nie miała wątpliwości, że teraz jest szczęśliwa.

- Boże, jaka jesteś piękna - powiedział.

Poczuła, jak jej ciało przeszywa dreszcz nienasyconego pożądania. Pieszczotliwie ujęła w dłoń jego męskość, delektując się oczekiwaniem. Potem objęła go rękami za szyję i mocno przyciągnęła do siebie, niemal bezwolnie rozsuwając uda.

- Tak bardzo tego chciałem - wyznał szeptem. - Nie masz pojęcia, jak cię pragnąłem...

- Ja ciebie też... Chyba to wiesz, prawda? Zachowałam siebie specjalnie dla ciebie. Coś mi mówiło, że właśnie tak ma być. Wiem, że już zawsze będziemy razem. Och, chodź do mnie, James!

I nagle stało się coś złego. Jego ciało, tak dotąd gotowe i chętne, zastygło w bezruchu, w dziwnym napięciu, jakby przeszyte jakąś niemą udreką. Bez słowa ześliznął się z niej i położył obok. Otworzyła oczy i spojrzała mu prosto w twarz.

- O co chodzi, James?

- Powiedziałaś, że wiedziałaś, że to się musi stać... i że już zawsze będziemy razem...

- Tak. A czy ty nie czujesz podobnie? Nie odpowiedział.

- Powiedziałaś, że zachowałam siebie dla mnie - ciągnął. - Więc jesteś dziewczyną?

- Owszem, ale to przecież bez znaczenia. Z kim miałabym stracić dziewictwo jak nie z tobą?

- Myślałaś, że się pobierzemy. Tak powiedział ci ten twój głos, prawda?

Nagle poczuła strach i zakłopotanie, i szybkim ruchem przykryła się kołdrą.

- Nie musimy pobierać się od razu, ale czułam, że będziemy razem.

Wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

- Twój głos się myli, Delyth - rzekł ze współczuciem.

Lecz ona nie chciała współczucia, chciała miłości.

- Bardzo cię... lubię - ciągnął - nie interesuje mnie jednak stały związek.

Mówiłem ci, że nigdzie nie zagrzewam miejsca i że wolę podróżować z jak najlżejszym bagażem. Gdy skończy mi się kontrakt tutaj, to może wyjadę do Stanów. Sam. Próbowałem już związków, ale widać nie są mi pisane...

- Więc chciałbyś jedynie romansu?

- Tak.

Cisza, jaka między nimi zapadła, wydawała się trwać całą wieczność.

- Wyjdź z pokoju. Chciałabym się ubrać.

W szpitalu przekonała się, że można się nauczyć dystansu do uczuć, jednak tej umiejętności nie potrafiła teraz zastosować. Czekał na nią w salonie. Na jej widok szybko się podniósł.

- Nie mogę teraz rozmawiać - oświadczyła; z wysiłkiem zachowała spokój i głos jej się nie załamał. - Wiem, że kiedyś będziemy musieli pomówić.

Tylko proszę cię, nie w tej chwili... Nie odprowadzaj mnie.

- Zraniłem cię, prawda?

- Owszem, zraniłeś.

## *ROZDZIAŁ PIĄTY*

Nazajutrz obudziła się późno, w fatalnym nastroju, i z trudem zwlokła się z łóżka.

Nie mogła tak po prostu zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Zmusiła się więc do tego, by przypomnieć sobie, co czuła poprzedniego wieczoru. Musiała postanowić, co dalej robić. Usiadła po turecku na łóżku i w zadumie piła herbatę. Doszła do wniosku, że chyba nigdy się nie otrząśnie z poczucia odrzucenia. Ale czy aby na pewno została zupełnie odrzucona?

O dziwo, nie czuła wstydu ani złości na siebie. Owszem, zachowała się bardzo otwarcie i szczerze, ale była przy tym w zgodzie z sobą. Była przekonana, że James jest właśnie tym mężczyzną. To, że nie podzielał jej pewności i uczuć, wprawiło ją w osłupienie.

Musiała jednak stawić czoło nieprzyjemnej prawdzie: najwidoczniej się pomyliła.

- On mnie zwyczajnie nie kocha - mruknęła pod nosem. - Ale przecież...

Ogarnęło ją przerażenie. Nie wiedziała już, w co wierzyć, czego się trzymać.

Przypomniała sobie, co powiedziała jej Megan - że James coś ukrywa. Może siostra ma rację... Tak czy owak, James odwrócił się od miłości, zrezygnował z myśli o poważnym związku. To jego mieszkanie, takie puste i anonimowe...

Jak to on powiedział? Aha, że lubi podróżować z jak najlżejszym bagażem. Mówił to dosłownie i w przenośni, w sensie emocjonalnym. No cóż, to jego problem. Ona ma rodziców, sześć siostr, mnóstwo krewnych i przyjaciół. Wie, ile szczęścia i radości niesie z sobą rodzinna bliskość; czasem - ile rozpaczy...

Jak ma się zachować? Przecież będzie go często widywać. Nie miała złudzeń, że będzie to łatwe, ale obiecała sobie, że da radę. Nie pozwoli, by ją unieszczęśliwił. W każdym razie, nie aż tak bardzo...

Zatraciła się w pracy. Odwiedziła panią Webster i zapisała ją na wycięcie guzka następnego dnia. Dodała jej otuchy i pozwoliła sobie na ostrożny optymizm, Kobieta jednak wciąż nie mogła się pozbierać. Przez cały czas trwania rozmowy co rusz obmacywała chorą pierś.

- Musi mnie pani doktor nauczyć szukać guzków. Gdzie jeszcze powinnam się zbadać?

- Teraz najważniejsze są piersi, choć nie zaszkodzi też sprawdzić na szyi. Warto się także wyczulić na inne objawy, takie jak plucie krwią, krwawienie pozamiesiączkowe, zmiany w wyglądzie pieprzyków, nie gojące się rany na skórze, nagła utrata wagi albo chroniczne zmęczenie. - Widać było, że pacjentka stara się zapamiętać każde jej słowo, i Delyth ogarnęło poczucie winy: obawiała się, że pani Webster wpadnie teraz w drugą skrajność. - Oczywiście, każdy z tych objawów może oznaczać dziesięć różnych chorób, niekoniecznie nowotwór - dodała szybko.

- Oczywiście. No a co z jutrzejszą operacją? W porę wykryli ten guzek, prawda? Nie muszę się martwić?

- Jakieś ryzyko istnieje zawsze, ale wszystko powinno pójść dobrze. Za jednym zamachem zoperujemy pani też żylaki.

- Całkiem o nich zapomniałam! - wyznała pani Webster z westchnieniem.

Skończywszy obchód, usiadła w pokoju lekarzy i zabrała się do znienawidzonych papierków. Wczesnym popołudniem zjawił się tam James. Siedziała tyłem do drzwi, ale gdy tylko skrzypnęły, wiedziała, że to on. Z napięcia zastygła w bezruchu. Kątem oka zobaczyła, jak staje obok niej, i poczuła jego dłoń na ramieniu; po chwili jednak zdjął ją z ociąganiem.

- Witaj, James - rzekła z udawaną beztróską. - Gdzie się podziewałeś? Zamiast odpowiedzieć, usiadł przy stole naprzeciwko niej.

- Spokojnie wczoraj dotarłaś do domu?

- Jeśli chodzi ci o to, czy mnie ktoś pobił lub zgwałcił, odpowiedź brzmi „nie”.

- Przecież wiesz, że nie o to mi chodzi... - Spojrzał jej prosto w oczy, a ona pomyślała, że będąc tak blisko siebie, są zarazem tak daleko. - Znam cię niedługo, ale przez ten krótki czas zdążyłem nabrać dla ciebie... szacunku. Zdaje sobie jednak sprawę, że doszło do nieporozumienia, i przypuszczam, że to z mojej winy. Chcesz więcej, niż jestem w stanie ci dać. Nawet nie wiesz, jak mi przykro...

- Może oboje popełniliśmy błąd - odrzekła, wzruszając ramionami. - Przynajmniej byłeś ze mną szczery. Poza tym podejrzewam, że niewielu mężczyzn zdobyłoby się na to, żeby... zrezygnować w takiej chwili.

- Wierz mi, nie było to łatwe...

- Dla mnie też nie. Odchrząknął. - Przyszedłem ci powiedzieć, że na razie nie będziemy razem pracować.

- Chyba cię nie wystraszyłam? - spytała nieco zjadliwie. - Nie ma obawy, nie będę cię prześladować.

Na moment jego oczy rozbłysły gniewem. Wiedziała, że jest zdolny do głębokich uczuć, i pomyślała, że może posunęła się za daleko. Jednak po chwili potrząsnął tylko głową.

- To nie ma nic wspólnego z tobą. Vic Adams ze szpitala Lathom Street złamał nogę. Brakuje im ludzi, więc na jakiś czas muszę go zastąpić.

Znała ten szpital. Mieścił się na przedmieściu, około piętnastu kilometrów od szpitala św. Heleny.

- Więc nie będziemy cię tu widywać, tak?

- Właśnie. I żeby oszczędzić mi podróży, przydzielili mi tam pokój w hotelu.

- To chyba żaden problem? - Nie mogła się powstrzymać od kąśliwej uwagi. - Mówiłeś, że lubisz podróże i że unikasz wszystkiego, co mogłoby ci w tym przeszkadzać.

Zraniłam go, przemknęło jej przez głowę.

- Dobry lekarz wie, gdzie nacisnąć, żeby bolało, co? - Uśmiechnął się gorzko. - Chciałem, żebyś wiedziała, dlaczego mnie tu nie będzie.

- Chciałeś mi powiedzieć: „Żegnaj”.

- Nie, Delyth. Ja niedługo wrócę. A więc mówię na razie tylko do widzenia.

Co on chciał przez to powiedzieć? - spytała się w duchu, gdy wyszedł. Zapewne nic. Może chciał być po prostu uprzejmy. Gdy wróci, wciąż będzie jej przełożonym, a ona wiele się od niego nauczy. Będą z sobą pracować, nic więcej. Musi pamiętać, żeby wciąż sobie o tym przypominać.

Wstała i zrobiła sobie kawę, a potem znów wróciła do papierków. Pół godziny później drzwi ponownie się otworzyły.

Tym razem był to Matt. Ucieszyła się na jego widok - miała dość samotności i swoich upartych myśli.

- Właśnie przed chwilą musiałem się zająć niedociśnieniem pooperacyjnym - oznajmił. - Dziś rano wycięliśmy wyrostek pani Thompson.

Wiedziała, że po znieczuleniu ogólnym spadek ciśnienia nie jest niczym nadzwyczajnym.

- Coś poważnego?

- Chyba nie. Jest po prostu trochę osłabiona. Zrobił sobie kawę.

- Chcesz jeszcze jedną? - Wskazał na jej pusty kubek. Obeszłaby się bez niej, ale było jej jakoś smutno; chciała poczuć, że robi coś razem z kimś - choćby było to tylko wspólne wypicie kawy. Twierdząco pokiwała głową.

- Słyszałaś o Jamesie? - zapytał, gdy usiedli przy stole.

- Że chwilowo nas opuszcza? Tak, był tu niedawno.

- Będzie go nam brakowało. Trochę się go obawiam, ale od niego nauczyłem się więcej niż od Petera Kenny'ego.

- Faktycznie, dobry z niego nauczyciel.

Matt siedział w milczeniu, długo mieszając kawę.

- Uważaj, bo wywiercisz dziurę w kubku - przestrzegła go z uśmiechem.

Zaczerwienił się i odłożył łyżeczkę.

- Przepraszam, zamyśliłem się.

- A o czym myślałeś, jeśli wolno spytać?

Pytanie to, zadane tak wprost, wyraźnie go speszyło. Upił łyk, odchrząknął, po czym wyjąkał:

- O tym, że... ty i James jesteście... dość blisko.

- Bardzo lubię Jamesa, ale nie ma między nami nic poważnego.

Właściwie teraz nic nas już nie łączy.

- Teraz? - podchwycił natychmiast. - Chcesz powiedzieć, że wcześniej...?

Nie podobało jej się to przesłuchanie.

- Chcę powiedzieć to, co powiedziałam - ucięła. - Nie ma między nami nic poza tym, że go lubię i podziwiam. Czemu tak cię to interesuje?

- Bo... chciałbym się z tobą umówić - wyznał.

Przyjrzała mu się uważnie. Był wysoki, przystojny i miał mnóstwo chłopięcego wdzięku. Mógł się podobać i dał się lubić, i dobrze się czuła w jego towarzystwie. Ale nie był Jamesem... James nic już przecież dla mnie nie znaczy, przypomniała sobie w duchu.

- Posłuchaj, Matt, oboje ciężko pracujemy i uczymy się podejmować trudne decyzje. Nie mamy siły ani czasu na wielkie namiętności, musimy po prostu przetrwać. Lubię cię, ale nie licz na nic poważnego.

Nie pozwolił jej się zbyć.

- A czy mogę cię zaprosić chociaż na drinka?

- Obiecujesz nie popadać w tony romansowe?

- Obiecuję.



- No to zgoda, kiedyś się umówimy.

Na jego twarzy ujrziała tak nieklamana radość, że przez moment poczuła się winna. Ostrzegłam go, pomyślała; nic więcej nie mogę zrobić.

Wieczorem zadzwoniła do Megan, by dowiedzieć się, co słyhać i zapytać o zdrowie Charlesa. Po krótkiej wymianie zdań Megan przeszła do ataku:

- Co z tobą i Jamesem?

- Znów bawisz się w niańkę?

- Starsze siostry zawsze niańczą młodsze, a ja traktuję swoje obowiązki nadzwyczaj poważnie. Ponieważ unikasz odpowiedzi, obawiam się, że już ją znam. Co poszło nie tak?

Postanowiła zdobyć się na szczerość.

- Spędziliśmy razem cudowny dzień. Wydawało mi się, że jest nam z sobą naprawdę dobrze. Ale potem on powiedział, że nie szuka... trwałego związku, nie zamierza się angażować. Chce „podróżować z jak najlżejszym bagażem”...

- Powiedział ci, dlaczego?

Uznała, że lepiej nie zdradzać wszystkich szczegółów.

- Miał... powikłane życie. Nie chce narażać się na ból.

- Właśnie to wyczytałam z jego twarzy... No i jak się z tym czujesz, siostrzyczko?

- Poradzę sobie.

- Słuchaj, może to po prostu niefortunny moment, może coś się zmieni... Chcę, żebyś wiedziała, że bardzo go lubię i mam o nim dobre zdanie. Co zamierzasz zrobić?

- Umówić się z innym lekarzem - odparła. Megan zachichotała.

- Świetny pomysł. Jestem za tym, że należy oddawać ciosy. Bądź ze mną w kontakcie i pamiętaj, że na świecie nie brak mężczyzn.

Czy chcę oddać cios? Czy chcę innego mężczyzny? - pomyślała z powątpiewaniem, odkładając słuchawkę.

Tak się złożyło, że z Mattem mogła się umówić dopiero cztery dni później. Jamesa już więcej nie zobaczyła, natomiast częściej widywała teraz Petera Kenny'ego, a nawet samego Michaela Forrestera. Oczywiście, najczęściej spotykała się z Mattem, który po tym, jak zgodził się z nim umówić, okazał jej jeszcze większe względy - co było miłe, ale też przyprawiało ją o smutek. Wiedziała, że chce być z nią sam na sam i że jest gotów czekać.

We wtorek ustalili, że wybiorą się do włoskiej restauracji w Covent Garden. Pojechali tam taksówką. Zjedli szynkę po parmeńsku, spaghetti z sosem z owoców morza i lody na deser. Następnie poszli na spacer nad rzekę.

Kiedy się przechadzali, Matt wziął ją za rękę, a ona nie protestowała. Przez cały wieczór zachowywał się nienagannie i podejrzewała, że celowo powstrzymywał się od śmiertelnych gestów. Bardzo chciał zyskać sobie jej sympatię i starał się wywrzeć na niej jak najlepsze wrażenie. Wszystko to sprawiłoby jej prawdziwą przyjemność, gdyby nie wspomnienie o Jamesie, które z trudem od siebie odsuwała.

Gdy wrócili do hotelu, zrobili sobie herbatę i razem ją wypili w jej pokoju. Potem Matt pocałował ją lekko w policzek i z uśmiechem zapewnił, że nie będzie próbował wprosić się do niej na noc. Podziękowała mu za miły wieczór i powiedziała, że naprawdę go lubi.

Przez następne dwa tygodnie często razem wychodzili - na koncert, na drinka, na kolację. Zwykle towarzyszyli im przyjaciele Matta, czym Matt - w odróżnieniu od Delyth - nie był zachwycony.

- Zawsze wlecemy za sobą jakiś ogon - pozałił się.

- Wszystko przez to, że jesteś sympatyczny. Ludzie cię lubią i masz mnóstwo znajomych.

Uśmiechnął się smutno.

- Chętnie oddałbym tę popularność za więcej chwil spędzonych tylko z tobą.

Pewnego ranka, gdy pobierała pacjentom krew, młodsza pielęgniarka zawołała ją do telefonu.

- To doktor Owen - poinformowała.

Delyth była zadowolona, że ją uprzedzono - dzięki temu mogła przygotować się do rozmowy. Była zaskoczona, że serce tak mocno jej zabiło na dźwięk jego nazwiska. Przecież miała przestać łączyć z jego osobą jakiegokolwiek nadzieje...

Nie kontaktowali się od prawie trzech tygodni, i gdy w słuchawce usłyszała jego głos, ból powrócił z całą siłą.

- Cześć, Delyth, tu James. W pracy wszystko w porządku?

- Ręce mam pełne roboty, ale jakoś sobie radzę.

- Miło mi to słyszeć. Już mówię, dlaczego dzwonię. Otóż chciałbym cię prosić o przysługę. Jeśli nie zechcesz lub nie będziesz mogła mi pomóc, szczerze mi to powiedz. Czuję się fatalnie, wiedząc, że narażam cię na jakiś... dyskomfort.

- Nie martw się, umiem odmawiać. A więc, o co chodzi?

- Najpierw zadzwoniłem do Petera Kenny'ego. Zaproponował cię i sprawdził twój rozkład dyżurów. Wszystko wskazuje na to, że powinnaś dać radę.

Trochę się zirytowała, że nie zwrócił się bezpośrednio do niej, ale nie okazała rozdrażnienia.

- Zrobię, co będę mogła. W czym rzecz?

- To właściwie nic wielkiego. - W jego głosie słychać było zakłopotanie. - Mówiłem ci, że w czasie wolnym trochę biegam, prawda? No więc klub, do którego należę, organizuje półmaraton w przyszłą niedzielę, na terenach zielonych w północnej części miasta. Bierze w nim udział całkiem sporo osób. Mamy kilku specjalistów od udzielania pierwszej pomocy, ale lekarz, na którego liczyliśmy, w ostatniej chwili odmówił. Nie zechciałabyś go zastąpić?

Była to dość niezwykła prośba.

- Ja się zupełnie nie znam na kontuzjach! Co miałabym tam robić?

- Najprawdopodobniej niewiele. Chodzi przede wszystkim o to, żeby spełnić wymagania komitetu i agencji ubezpieczeniowej. Jeśli się nie zgodzisz, sam będę musiał się tym zająć. Co oznacza, że nie mógłbym wziąć udziału w biegu.

- Rozumiem. Nie ma sprawy, chętnie to dla ciebie zrobię. Tylko pamiętaj, że nigdy w życiu nie miałam do czynienia z medycyną sportową.

- Dziękuję ci - powiedział z ulgą. - Będziesz działać z ludźmi, którzy wiedzą o niej wystarczająco dużo, i może nawet czegoś się nauczysz. Musimy jednak mieć lekarza na wypadek zawału albo czegoś podobnego. Dostaniecie miejsce w dużym namiocie, z pełnym wyposażeniem, więc nie musisz brać niczego poza fartuchem.

- Dobrze. Podaj mi adres.

Uczyniwszy to, nie pożegnał się z nią, tylko dodał:

- Cieszę się, że... odważyłem się poprosić cię o przysługę.

I cieszę się, że jesteś gotowa mi ją wyświadczyć.

- Dobrze wiesz, że zrobiłabym dla ciebie znacznie więcej - stwierdziła z goryczą i odłożyła słuchawkę.

Cierpiała, więc niech i on cierpi.

Nie skorzystała z propozycji Jamesa, który chciał po nią wpaść w niedzielę, i sama wybrała się na wyprawę w nie znane jej rejony miasta. Idąc od stacji do parku, szybko zorientowała się, że jest na właściwej drodze - wokół pełno było rozgrzewających się młodych mężczyzn i kobiet w dresach.

Ledwie weszła do namiotu, jak spod ziemi wyrósł przed nią James.

Nie była przygotowana na gwałtowny przyływ uczuć, jakie owładnęły nią na jego widok. Łudziła się, że panuje nad sytuacją; teraz jednak okazało się, że wcale tak nie jest. Była w nim po uszy zakochana - nawet jeśli on nie podzielał jej uczuć. Zmusiła się do uśmiechu.

- Miło mi cię widzieć, Delyth - powitał ją. - Tak się cieszę, że mogłaś przyjechać. Wiem, że to czysty egoizm z mojej strony, ale skoro tu jesteś, mogę wziąć udział w biegu.

- Mężczyzna musi dbać o kondycję... - Potem chętnie cię odwiozę. Po drodze moglibyśmy...

- Nie ma potrzeby - ucięła. - Lepiej powiedz mi, na czym polegają moje obowiązki.

Widząc jej kamienną twarz, uzmysłowił sobie, że ich relacje mają od tej pory charakter ściśle zawodowy.

- Naturalnie... Pozwól, że ci przedstawię Johna Williamsa. Odpowiada tu za pierwszą pomoc. Jest bardzo doświadczony i nie mniej życzliwy.

John Williams był mężczyzną po pięćdziesiątce, z długą brodą, o bystrym spojrzeniu. Przedstawił Delyth swoim współpracownikom.

Gdy James wyszedł z namiotu, zwróciła się do nich przeproszającym tonem:

- Wątpię, czy moje umiejętności dorównują waszym. Jestem lekarzem od bardzo niedawna. Kiedyś pracowałam jako pielęgniarka, i nie mam nic przeciwko bandażowaniu zwichniętych kostek i opatrywaniu zadrapań. Będę szczęśliwa, mogąc się do czegoś przydać.

Twarz Johna rozjaśnił promienny uśmiech.

- To bardzo wspaniałomyślnie z pani strony. Zwykle lekarz nie jest potrzebny, ale jeśli już coś się stanie, jest po prostu nieodzowny. Będziemy wdzięczni za każdą pomoc. - Spojrzał na zegarek. - Na razie nie ma tu nic do roboty. Wyścig zaczyna się za dziesięć minut. Może poszłaby pani popatrzeć?

W biegu brało udział około pięciuset osób. Na początku poruszali się w zbitej masie, ale już po paru chwilach szybsi biegacze oddzielili się od pelotonu.

Nagle dostrzegła Jamesa. Nie chciała, by ją zobaczył, toteż ukryła się w cieniu drzewa. Był na dwudziestym, może dwudziestym piątym miejscu. Miał na sobie białą koszulkę i niebieskie spodenki. Wysoki i długonogi, wydawał się

biec niemal bez wysiłku. Na jego twarzy malowało się po trosze zadowolenie, po trosze determinacja.

Westchnęła i wróciła do namiotu.

- Powiem pani, co nas czeka - zwrócił się do niej z uśmiechem John. - Omdlenia, wyczerpanie z gorąca, bąble, zadrapania, zwichnięcia. Ale ruch w interesie zacznie się dopiero za jakąś godzinę, więc na razie napijmy się kawy.

Nie mieli zbyt wiele do roboty, a jednak czas minął szybko jak z bicza strzelił.

- Widać już pierwszych biegaczy - zwrócił się do Delyth John. - Może pójdzie pani obejrzyć finisz? W razie czego poślę po panią.

Nie oparła się pokusie i skorzystała z jego sugestii. Zwycięzca dobiegł właśnie do mety. Był nim niski i szczupłutki mężczyzna; powitano go burzą oklasków i wiwatami. Po nim na horyzoncie ukazała się mniej więcej dwudziestoosobowa grupa, za którą Delyth spostrzegła Jamesa. Serce znów szybciej jej zabiło. Nie ma się co oszukiwać - nie interesował jej wynik, to na niego przyszła popatrzeć.

Był zlany potem. Przekroczywszy metę, przebiegł truchtem jeszcze kilka metrów, a potem przystanął i spuścił głowę na wysokość kolan.

- Moje gratulacje - powiedziała, zbliżając się do niego. - Omal się nie zabiłeś na ostatnich metrach, żeby przybiec jako dwudziesty siódmy zamiast dwudziesty ósmy. - Osłodziła tę złośliwość słabym uśmiechem.

- Tylko kobieta może kopnąć leżącego - wysapał sarkastycznie. - A jak tobie minęło popołudnie?

- Nie mogę narzekać. Nawet się nauczyłam tego i owego. Ale... co ty robisz?

Był zgięty w pół, miał wyprostowaną lewą nogę i duży palec skierowany do góry; potem zmienił nogę.

- Rozciągam mięśnie i ścięgna. Jeśli robi się to po każdym biegu, to kości człowiekowi nie sztywnieją.

- Lubisz taki wysiłek do granic możliwości, co?

- Jeśli nie daje się z siebie wszystkiego, w ogóle nie warto tego robić.

Jeszcze raz dziękuję, że przyjechałaś.

- Lepiej wróć już do namiotu.

Namiot zapełniał się powoli biegaczami, którym wprawdzie nic nie dolegało, ale chcieli wygodnie odpocząć.

- Większość z nich to zapaleńcy - zwrócił się do Delyth John. - A niektórych nazwałbym wręcz fanatykami.

- Nie musi mi pan mówić, sama znam jednego takiego.

W chwili, gdy wypowiadała te słowa, z tyłu podszedł do nich James. Była pewna, że słyszał jej słowa, ale nie dał tego po sobie poznać. Znów był w dresie; zauważyła też, że opłukał twarz i zmoczył włosy.

- Mogę cię już zmienić, Delyth - zwrócił się do niej z pozoru obojętnie. - Chyba że chciałabyś jeszcze zostać ze mną...

Pokręciła głową.

- Nie, na mnie już czas. Było mi bardzo miło pracować z grupą twoich znajomych, teraz jednak nie mam tu już nic do roboty.

Dostrzegła błysk złości w jego oczach, ale specjalnie się tym nie przejęła. Przecież dałam mu szansę, pomyślała; nic nie poradzę na to, że nie interesuje mnie przelotny związek.

- Jeszcze raz dzięki za wszystko - rzekł ochryple.

- Naprawdę nie ma za co. - Zwróciła się teraz do Johna i, celowo zmieniając ton głosu na cieplejszy, powiedziała: - Dzięki za współpracę i naukę. Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy.

- Zawsze będzie tu pani mile widziana - zapewnił John.

Odchodząc, czuła na sobie spojrzenie obu odprowadzających ją wzrokiem mężczyzn. Zastanawiała się, czy rozmawiają o niej - i na myśl o tym zrobiło jej się nieswojo. Była też rozczarowana swą wewnętrzną reakcją na układ z Jamesem - myślała, że wystąpi po prostu w roli profesjonalistki pomagającej

koledze po fachu, a tymczasem znowu ogarnęła ją niepewność i powrócił dawny ból. Czy ten facet nic do mnie nie czuje? - przemknęło jej przez głowę. Czy nie rozumie, że mnie rani? Czy on w ogóle nie ma serca?

## ***ROZDZIAŁ SZÓSTY***

- Gdzieś ty była? Szukałem cię.

Fatalnie się złożyło, że pierwszą osobą, na którą natknęła się po powrocie do hotelu, był Matt. Zirykowało ją to pytanie, lecz wiedziała, że to nie jego wina - to ona była w złym humorze. Zastanawiała się, czyby nie ukryć przed nim prawdy, ale w końcu postanowiła być szczerą.

- Byłam na półmaratonie w północnej części miasta, w charakterze lekarza.

Uciekł wzrokiem w bok. Wiedział, że bieganie to hobby Jamesa.

- Umówiłaś się tam z Owenem - powiedział z wyrzutem.

Nie uważała za stosowne tłumaczyć się przed Mattem, ale zdawała sobie sprawę, że kierują nim dobre intencje.

- Nie byłam tam na randce. Po prostu wyświadczyłam mu koleżeńską przysługę - odrzekła łagodnie.

Wydawało się, że odpowiedź ta uspokoiła Matta.

- Więc idziesz z nami wieczorem na koncert?

- Oczywiście, nie mogę się doczekać - odparła całkiem szczerze.

Występ w „Old City Walls” naprawdę jej się podobał. Wysłuchiwała go wraz z grupą przyjaciół, i wszyscy świetnie się bawili. Wróciwszy do hotelu, przyłączyli się do uczestników odbywającej się tam prywatki. Gdy dobiegła ona końca, Delyth znalazła się sam na sam z Mattem w swoim pokoju.

Delikatnie pocałował ją w usta, a ona odwzajemniła pocałunek. Po chwili ich pocałunki stały się bardziej namiętne, poczuła też jego dłoń na swej piersi.



W zasadzie nie miała nic przeciwko temu, ale... chciała być w porządku.

Spokojnie uwolniła się z uścisku.

- Pocałowaliśmy się, Matt, i to było bardzo miłe. Uprzedzam cię jednak, że nie chcę posuwać się dalej. I bez tego mamy dość problemów.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem i niemal po bratersku ucałował ją w policzek.

- Nie ma sprawy, Delyth. Naprawdę bardzo cię lubię. Dla mnie jesteś warta tego, żeby na ciebie poczekać. Dajmy sobie trochę czasu, poznamy się lepiej, i zobaczymy...

Ta wielkoduszna wypowiedź wzbudziła w niej szacunek i jeszcze większą sympatię dla Matta.

- Na razie musimy się przespać - powiedziała żartobliwie, cmokając go w policzek. - Zmykaj do łóżka, rano cię obudzę.

Kiedy wyszedł, poczuła, że jest tak zmęczona, że nie da rady zasnąć. Przewracając się z boku na bok, rozmyślała o swym życiu i o obecnych w nim dwóch mężczyznach. A może tylko jeden z nich liczył się naprawdę?

Uważała Matta za przystojnego, pracowitego i wrażliwego chłopaka. I nie miała wątpliwości, że naprawdę mu na niej zależy. Czy mogłaby go pokochać? Nie umiała jednoznacznie na to odpowiedzieć. Być może tak, nie mogła tego wykluczyć, ale... nie miała też tej przemożnej, obezwładniającej pewności, jaką podsuwał jej ów wewnętrzny głos. A skoro mylił się on co do Jamesa...

No właśnie, a co z Jamesem? Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak niewiele o nim ostatnio myślała - tak jakby chciała wymazać z pamięci bolesne wspomnienie. Oczami wyobraźni ujrzała dwie twarze: Matta otaczała jasna, pogodna aura, James natomiast tkwił w jakimś mroku. Wiedziała, że musiałaby go przyjąć razem z nim. Na myśl o tym przeszył ją dreszcz.

Tydzień później siedziała w pokoju lekarzy, zajęta uzupełnianiem dokumentacji, gdy do środka wszedł James. Zaskoczyło ją zarówno jego przyście, jak i jej reakcja. Nie widziała go od dnia biegu i jej ciało natychmiast

odpowiedziało na jego bliskość. Serce szybciej jej zabiło i poczuła, że się czerwieni. Mój Boże, jakże za nim tęskniła!

Robił wrażenie przemęczonego, ale wyglądał wspaniale.

- Chyba nie narzekasz na brak pracy, co?

- Ci z Lathom Street nie dali mi chwili wytchnienia. Uzbierały się tam okropne zaległości w operacjach, i musiałem je nadrabiać. Na szczęście mają już nowe zastępstwo, więc mogę wrócić tutaj. I oczywiście zacznę od kilku dni wolnego. A tobie jak leci?

- Też jestem bardzo zajęta, ale lubię tę pracę. No i wciąż się czegoś uczę.

- Ta robota wymaga skupienia.

- W każdym razie pozwala zapomnieć o innych sprawach... - zauważyła kwaśno i przeklęła siebie w duchu: James zaproponował jej rozmowę o pracy, na której mogliby zbudować rozsądną relację zawodową, a ona wszystko psuje tym swoim niewyparzoną językiem...

Pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

- Wszyscy dobrzy lekarze gromadzą zapasy sił, żeby móc się bronić. Ty natomiast stosujesz działania zaczepne, i to na terenie wroga.

Gorączkowo szukała w myślach jakiejś nonszalanckiej uwagi, za pomocą której mogłaby odparować cios, gdy nagle zadzwonił telefon. James odebrał go, kiwnął głową i podał jej słuchawkę.

- Do ciebie.

- Doktor Price, słucham - mruknęła, wdzięczna za wybawienie. W pierwszej chwili nie rozpoznała zboląłego kobiecego głosu. - Megan, to ty?! Dobrze się czujesz?

- Bywało lepiej... Właśnie zaczyna do mnie docierać, że fajnie jest mieć lekarza w rodzinie.

- Ale co się stało? Jesteś chora? Megan spróbowała się roześmiać.

- Nie chora, tylko ranna... Cały czas staram się przekonać siebie, że to jakaś kolejna zgrywa. Posłuchaj, spadłam ze stołka w kuchni, a stałam na nim na

palcach. Nie dość, że zwichnęłam sobie kostkę, to w dodatku naderwałam więzadło. Dosłownie wyłam z bólu! Lekarz na urazówce powiedział, że to gorsze niż złamanie.

- Jakim sposobem dotarłaś do szpitala?

- Leżąc na podłodze, zadzwoniłam do Charlesa, wiesz, tego mojego sąsiada. Otworzył drzwi swoim kluczem i wezwał pogotowie. Problem w tym, że jestem unieruchomiona. Pomyślałam więc, że skoro i tak nie mogę pracować, to przynajmniej sobie odpocznę na łonie rodziny. Wracam na mamusiny garnuszki. W tym stanie nie wyobrażam sobie podróży pociągiem, ani tym bardziej nie mogę prowadzić samochodu, więc pomyślałam, że może ty mogłabyś mnie zawieźć? Jak tylko będziesz miała wolne.

- Oczywiście, że cię zawiozę - odparła Delyth bez namysłu. - A wolne mam już jutro.

- To fantastycznie! Nie masz jeszcze samochodu, więc weźmiemy mój.

- Masz na myśli tego land-rovera? - upewniła się Delyth z powątpiewaniem w głosie. - No dobrze...

Problem polegał na tym, że Delyth niezbyt pewnie czuła się za kierownicą. Miała oczywiście prawo jazdy, ale od czasu, gdy je zrobiła, niewiele jeździła. A w dodatku nauki pobierała w mini morrisie, a nie takim ciężkim wozie terenowym...

- Musimy wcześniej wyjechać - oświadczyła z ciężkim sercem. - Będę u ciebie jutro wpół do siódmej. Do zobaczenia.

- Zawiozę was - oznajmił James.

- A niby z jakiej racji?

- Z takiej, że ja też mam wolne i że z chęcią wybiorę się do Wabi. Poza tym w Afryce cały czas jeździłem land-roverem, więc mam wprawę. Przecież widzę, że perspektywa prowadzenia tego kolosa wcale ci się nie uśmiecha, a ja muszę dbać o dobre samopoczucie młodszego personelu.

Wszystkie te powody były racjonalne i zgodne z prawdą, lecz żaden nie był tym, który Delyth chciała usłyszeć. Matta nie mogła poprosić o tę grzeczność, bo wiedziała, że ma dyżur, a wolała jechać jako pasażerka niż jako kierowca.

- No dobrze - mruknęła. - To bardzo miło z twojej strony.

Megan wypożyczyła kule ze szpitala, ale James i tak wziął ją na ręce i zniósł na dół. Ułożył ją na kocach i poduszkach zgromadzonych na tylnym siedzeniu, a następnie poszedł po jej bagaż. Wydawało się, że Megan wcale nie jest zaskoczona tym, że James zjawił się razem z Delyth.

- Próbujecie jeszcze raz? - zapytała siostrę, gdy James był na górze. - Nie uważam, że to jest błąd. Mówiłam ci, że go lubię. I cieszę się z jego pomocy.

- Niczego nie próbujemy. Po prostu chciał się wybrać do Walii.

- Jasne... Myślisz, że spodoba się mamie? Chyba ją uprzedziłaś?

- Zatelefonowałam do domu. Powiedziałam, że przywiezie nas mój kolega z pracy.

- Założę się, że mama wyciągnie najlepszą porcelanę.

Gdy James wrócił, siedząca z przodu Delyth zapięła pas i ruszyli. Prowadził tak samo jak operował - szybko i zdecydowanie. Zręcznie torował sobie drogę w porannym ruchu. Nim się spostrzegły, już byli na szosie do autostrady M1, wiodącej na północ.

- W Afryce zapuszczałem się do buszu - odezwał się. - Żadnego ruchu, żadnych pacjentów, tylko ja i dzika przyroda. I upragniona samotność.

- I owady - dodała Megan.

- Zgadza się, i owady. I to niezapomniane!

Silnik hałasował i trudno im było rozmawiać. Zresztą Megan wciąż czuła ból. Delyth dała jej dwa silne środki, więc siostra szybko zapadła w drzemkę.

- Jeśli się zmęczysz, mogę cię zastąpić - zwróciła się do Jamesa.

- Nie martw się, ja to uwielbiam. Może i ty się trochę prześpisz? Można rozłożyć siedzenie.

Najwyraźniej nie chciał z nią rozmawiać - czy raczej krzyczeć do niej - toteż skorzystała z jego sugestii. Tuż przed zaśnięciem zdążyła jeszcze zerknąć na jego ładny profil.

Musiała być bardziej zmęczona, niż sądziła, bo spała jak zabita. Obudziła się dopiero, gdy poczuła, że ktoś potrząsa ją delikatnie za ramię.

- Walia na horyzoncie! - obwieścił James. - Chcesz popatrzeć na piękne widoki?

- Gdzie jesteśmy?

- Właśnie zjechaliśmy z M54 na A5 i niedługo będziemy w Shrewsbury.

- Tak daleko! Musiałam spać ładnych parę godzin.

- Śpij, kiedy się da. Ja sam zawsze tak robię. Cieszysz się z wizyty w domu?

Od miejsca, w którym się urodziła i wychowała, dzieliła ich niespełna godzina jazdy. Czowała podekscytowanie, ale...

- Tak, chyba tak. Jestem przywiązana do tej okolicy i uważam, że jest cudowna. Jednak Londyn też mi odpowiada i zdążyłam się już tam zadomowić. Może dzięki temu, że się tam przenieśliśmy, poszerzę nieco... swoje horyzonty.

- Jak sobie wyobrażasz swoją zawodową przyszłość?

- Do niedawna myślałam, że zostanę lekarzem ogólnym i wrócę tutaj. Alun Roberts, miejscowy lekarz, bardzo mi swego czasu pomógł i dodał wiary w siebie. Chciałam być taka jak on. Ale teraz, co tu dużo mówić, uwielbiam pracę w szpitalu. Niewiele jest kobiet chirurgów, prawda?

- Rzeczywiście, niewiele. Ale te, z którymi dane mi było pracować, są świetnymi fachowcami. Jak mam jechać?

Opuścili główny trakt i znaleźli się w labiryncie wąskich drózek, które Delyth znała na pamięć od dzieciństwa. Objężdżali wzgórze, mijali farmy, powoli pnać się do góry. W pewnej chwili, gdy brali ostry zakręt, Megan także się obudziła.

Gdy dotarli na miejsce, Delyth z rozczuleniem ogarnęła wzrokiem niedużą osadę - poczta, piekarnia, mały budynek szkoły podstawowej, jeden jedyny pub...

Słyszając chrzęst żwiru na podjeździe, Bronwen Price wyszła im na powitanie. Ojca nie było w domu - pojechał z referatem na konferencję poświęconą ogrodnictwu i jego miejscu w gospodarce wiejskiej.

- Bardzo się ościągają z tym wyjazdem - poinformowała ich z uśmiechem matka. - Ale dzwonił wczoraj, żeby powiedzieć, że poziom dyskusji mile go zaskoczył i że poznał parę interesujących osób. Podobno jest tam nawet telewizja i mają kręcić z nimi jakiś program.

- Sąsiedzi będą zachwyceni - powiedziała Megan, z pomocą rodziny lokując się na kanapie.

- Dziadzius będzie w telewizji? - zainteresował się Robert, jeden z licznych siostrzeńców Delyth. Był trzecim dzieckiem Lucie, nauczycielki muzyki, która wyszła za miejscowego farmera.

- Możliwe - odparła Lucie. - Czemu pytasz?

- Często pomagam dziadkowi kopać - odrzekł poważnie czterolatek. - I wrywam chwasty, i noszę mu różne rzeczy. Więc może ja też będę w telewizji?

- Lepiej pomóż teraz mnie w łuskaniu grochu. - Bronwen Price wzięła wnuczka na ręce.

- Spędza więcej czasu w ogrodzie niż przed telewizorem - zwróciła się do Delyth i Jamesa Lucie. - Dziwne dziecko. Czasem trochę się o niego martwię... Lepiej jednak pomówmy o tobie, siostrzyczko. Medycyna mnie nie interesuje, ale powiedz: śpiewasz jeszcze czasami?

James został przedstawiony rodzinie, która natychmiast go zaakceptowała. Posadzono go na wielkim fotelu bujanym, skąd przypatrywał się Delyth i jej bliskim. Po godzinie pogaduszek wszyscy udali się do cieplarni na lunch. Kiedy usadowili się przy stole, Delyth wyjaśniła Jamesowi:

- Nazywamy to miejsce cieplarnią, ale, jak sam widzisz, to tylko jeszcze jedna ze szklarni ojca.

- Wie pan, mój mąż ma szczęście - zwróciła się do Jamesa Bronwen Price.

- Jego praca to zarazem jego hobby.

- Myślę, że ma szczęście nie tylko pod tym względem... Ale proszę mi mówić po imieniu, dobrze?

Lunch był pyszny: sałata, jajka, szynka, jeszcze ciepły chleb - wszystko świeżuteńkie. Delyth już prawie zapomniała, jak smakuje domowe jedzenie. Po posiłku Bronwen Price zaproponowała Jamesowi odpoczynek:

- Przejechałeś szmat drogi, i pewnie będziesz też prowadził z powrotem. Jak znam moje córki, to pewno większość czasu przespały. Więc może weź z sobą herbatę i zdrzemnij się w gabinecie? Dopilnuję, żeby nikt ci nie przeszkadzał.

- Powinna pani była wyjść za chirurga - odrzekł z uśmiechem. - To świetna myśl. Chętnie się prześpię.

Kiedy kobiety zostały same, mogły wreszcie trochę poplotkować. Delyth opowiadała im o klubie, o koncertach jazzowych, o Londynie, o pracy.

- Więc mówisz, że pracujesz razem z Jamesem? Wygląda mi na miłego człowieka - stwierdziła matka.

- Jest starszym lekarzem, więc dużo się od niego uczę - rzekła ostrożnie Delyth.

- Powiedz mu, że jak będzie miał parę dni wolnego, to może tu do nas wpaść. Chętnie poznałabym go bliżej.

I już - żadnych dodatkowych pytań ani komentarzy.

Delyth uśmiechnęła się pod nosem.

Było oczywiste, że James bardzo się matce spodobał, ale intuicyjnie umiała wyczuć, co należy powiedzieć, a co lepiej przemilczeć.

- A propos koncertów - zaczęła z innej beczki Lucie. - Chodźmy teraz do salonu. To w drugim końcu domu, więc nie obudzimy twojego pana doktora. Od pół roku nie słyszałam, jak śpiewasz. Domagam się występu!

- Idę z wami - oznajmiła Megan, sięgając po kule. - Może się nawet przyłączę.

Lucie usiadła do fortepianu i zagrała kilka taktów. Spojrzała pytająco na siostrę.

- Poznajesz?

- To „Wrześniowa piosenka” - ucieszyła się Delyth. I w istocie, był właśnie koniec września. - „Gdy jesienna pogoda w płomienną czerwień liście obleka, nie czas, człowieku, byś z prawdziwą miłością zwlekał” - zaśpiewała.

Przymknęła oczy, zbliżając się do końca. Była to jedna z jej ulubionych piosenek. Gdy wybrzmiały ostatnie dźwięki, zapadła cisza, którą nagle przerwały czyjeś oklaski. Delyth otworzyła oczy i w drzwiach zobaczyła Jamesa.

- Mógłbym cię słuchać bez końca, ale niestety twoja mama przypomina, że powinniśmy już jechać.

Naturalnie matka miała rację - czekała ich długa jazda, a następnego dnia rano Delyth musiała być w szpitalu.

Nim odjechali, wypili jeszcze kawę i przyjęli od matki dużą torbę kanapek na drogę.

- Jak się czujesz? - spytał James już w samochodzie. - Żałujesz, że wyjeżdżamy?

- Trochę. Tu mieszkają moi bliscy i przyjaciele z dzieciństwa. Mam wiele dobrych wspomnień związanych z tym miejscem. Ale wybrałam już inną drogę. Chcę być lekarzem i pracować w Londynie. Nie mogę się doczekać, kiedy jutro pójdę do szpitala.

Będąc z nim sam na sam, czuła się trochę nieswojo. Nie wiedziała, czy ma rozmawiać, czy może lepiej milczeć.



- Jeszcze raz ci dziękuję - odezwała się w końcu. - Pewnie jakoś bym sobie poradziła, ale nie da się ukryć, że bardzo nam to wszystko ułatwiłeś.

- Cała przyjemność po mojej stronie. To była naprawdę miła odmiana. No i bardzo się cieszę, że poznałem twoich bliskich. Kochają cię i opiekują się tobą. Zaczynam doceniać, co to znaczy mieć rodzinę.

- Ale własnej nie zamierzasz założyć? - spytała, czując do siebie złość, że nie zdołała się powstrzymać od uszczypliwości.

- Poradzę sobie jakoś bez rodziny - odrzekł z pozoru obojętnie. - Podjąłem już decyzję i będę się jej trzymał.

Na takie dictum nie znalazła odpowiedzi.

## ***ROZDZIAŁ SIÓDMY***

Jak słusznie przewidywała Delyth, Mary Cooney należała do marudnych pacjentek. Była młoda i próbowała udawać, że nic jej nie wzruszy, ale w jej oczach czaił się strach.

- Zrobicie mi dziurę w ręce, a potem wsadzicie do środka to paskudztwo? - spytała, patrząc, jak Delyth przygotowuje się do podłączenia kroplówki,

- Chodzi o to, żeby leki dostały się bezpośrednio do krwi. To odrobinę niewygodne, ale wcale nie boli. - Ponieważ Mary była praworęczna, Delyth wybrała żyłę w lewej ręce, w dołku łokciowym. - Jeśli nie chcesz, możesz nie patrzeć - poradziła, zaciskając opaskę uciskową.

Mary zamknęła oczy.

- To nic wielkiego - stwierdziła dzielnie, gdy było już po wszystkim.

Delyth uśmiechnęła się pod nosem i pożegnawszy się, poszła do pokoju lekarzy, gdzie zastała Matta.

- Jak ci minął wczorajszy dzień? - zagadnął ją.

- Wyobraź sobie, że byłam w domu, w Walii. Moja siostra zwichnęła nogę i James zawiózł nas do moich rodziców.

Od razu się zorientowała, że Mattowi nie spodobała się ta wiadomość.

- Mówiłaś, że nic was nie łączy...

- Przecież musimy jakoś z sobą współżyć, prawda? Byłabym poprosiła ciebie, żebyś nas zawiózł, ale wiedziałam, że masz dyżur. Więc ucieszyłam się, jak James zaoferował swoją pomoc.

- A jak to wszystko ma się do mnie? Chciałbym wiedzieć, na czym stoję. -  
Widziała, że stara się zapanować nad złością, i doceniała to. Okrążywszy stół, pocałowała Matta w policzek.

- Masz u mnie wyrobioną pozycję: jako kompetentny kolega po fachu i bliski przyjaciel.

Okolo jedenastej miała telefon z oddziału nagłych wypadków.

- Mamy dla ciebie kłopotliwego klienta, Delyth. Nie mówi ani słowa po angielsku. Ktoś wezwał policję do jakiejś bójki, zanim jednak dotarli na miejsce, był tam już tylko ten chłopak. Jego kumple po prostu go zostawili. Był pobity, więc policja wezwała pogotowie. Nie wiemy, kim on jest, bo ma całkiem puste kieszenie. Nie wiemy nawet, jakim mówi językiem.

- Dlaczego mamy go przyjąć?

- Ma mnóstwo siniaków i jest ogólnie poturbowany, ale najistotniejsze jest to, że dostał potężny cios w głowę. Trzeba go zatrzymać na parę dni na obserwację.

- Tomografia wykaze ewentualne uszkodzenia. Dobra, dawajcie go.  
Rozejrzę się za łóżkiem.

Gdy pacjenta przywieziono na oddział, Delyth z westchnieniem wzięła do ręki formularz, który musiała wypełnić. Było jasne, że na razie wiele miejsc pozostanie pustych.

- Będę cię nazywać John, dobrze? - Uśmiechnęła się do czarnoskórego młodzieńca. - Chyba że mi powiesz, jak ci na imię...

Chłopak był przytomny, ale nie odpowiedział. W jego oczach malowało się przerażenie. Na policzkach dostrzegła blizny po plemiennych nacięciach, które układały się we wzór - dla niej równie tajemniczy jak hieroglify.

Pobrała pacjentowi krew i posłała ją do analizy. Wiedziała, że w przypadku urazów głowy zawsze należy zwracać się do starszego lekarza, toteż odszukała Petera Kenny'ego. Po wstępnych oględzinach i zapoznaniu się z kartą Peter uznał, że nie ma potrzeby wzywać neurochirurga.

- Zatrzymamy go na obserwację. Gdyby jego stan się pogorszył, natychmiast daj mi znać. Szkoda, że nie możemy się z nim porozumieć.

- Kim on może być?

- Pewnie nielegalnym imigrantem. Ale to nie nasz problem, Delyth. Skupmy się na aspekcie medycznym. Nie mamy środków na badania socjologiczne.

- A czy da się oddzielić jedno od drugiego?

- Nie da, ale musimy to zrobić.

Wiedziała, że Peter ma rację i że jego oschłość jest jedynie mechanizmem obronnym. Na razie jednak zaakceptowanie pewnych zjawisk wciąż jeszcze przychodziło jej z trudem.

W szpitalu św. Heleny pracowali ludzie z wielu różnych stron świata. Przez cały dzień zaglądali oni do Johna, by przemówić do niego w swym ojczystym języku. Raz, słysząc dziwne syczące dźwięki, Delyth odniosła wrażenie, że w oczach Johna pojawił się błysk zrozumienia. Chłopak jednak nie powiedział ani słowa.

- Myślę, że mnie zrozumiał - potwierdził jej odczucie czarnoskóry pracownik kotłowni - ale nie chciał rozmawiać.

Nazajutrz asystowała przy operacji Michaelowi Forresterowi. Gdy wróciła na oddział, okazało się, że tajemniczy pacjent zniknął.

- Przyjechał po niego wuj - uspokoił ją Matt. - Był bardzo greczny, ale nalegał, żeby John się wypisał. Z rozmowy wywnioskowałem, że chłopak

przyjechał tu na studia. Nie miałem ochoty go wypuszczać, ale wuj świetnie orientował się w przepisach. Nie mogłem nic zrobić.

- Co to był za człowiek, ten jego wuj?

- Jak powiedziałem, dobrze wychowany, ale najwyraźniej przyzwyczajony do stawiania na swoim. Całkiem nieźle ubrany, tyle że z przodu miał dwa złote zęby... Teraz rzadko się widuje coś takiego. Zapewnił, że przywiezie Johna na kontrolę do przychodni. Kazałem im się podpisać i zostawić adres.

Gdy patrzyła na formularz, znowu ją to dopadło: przekonanie, że John umrze. Albo nawet coś gorszego... Tylko co mogło być gorsze niż to? Pokój zawirował jej przed oczami. Ledwie utrzymała równowagę.

Poczuła, jak Matt obejmuje ją ramieniem i prowadzi w stronę krzesła.

- Nic ci nie jest, Delyth? - zapytał z troską. - Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć.

- Już dobrze, zaraz się pozbieram. Tylko że... martwię się o tego chłopaka.

Jamesowi powiedziała o swym wewnętrznym głosie, ale Mattowi nigdy by się do tego nie przyznała.

- Nie możemy mieszać się w życie rodzinne pacjentów - przypomniał jej - zwłaszcza jeśli nas o to nie proszą.

- Przecież mamy leczyć całego człowieka!

- Niestety, nie zawsze jest to możliwe. Może chciałabyś się położyć? Sam tu sobie poradzę.

- Nie ma potrzeby. Wypiję mocną kawę i zaraz wracam.

Miała zamiar spędzić ten wieczór na czytaniu, ale o wpół do dziewiątej wiedziała już, że nici z odpoczynku. Ogarnął ją taki niepokój, że niewiele myśląc, włożyła płaszcz, wyszła z hotelu i przywołała taksówkę. Podała kierowcy adres, który zostawił Mattowi mężczyzna ze złotymi zębami - dziwnym trafem utkwiał jej w pamięci.

Szybko dotarli na miejsce. Okazało się jednak, że adres jest po części fikcyjny - owszem, istniała ulica o podanej przez mężczyznę nazwie, ale nigdy nie było na niej żadnych bloków mieszkalnych; po lewej stronie rozciągał się mur, po prawej - nieduży park.

- To chyba nie tu, proszę pani - zwrócił się do niej kierowca, jeszcze raz zerkając do planu miasta. - A w Londynie nie ma więcej ulic o tej nazwie.

Kazała się więc zawieźć z powrotem do hotelu.

- Nie powinniśmy się w to mieszać - upomniał ją Matt, gdy mu o tym powiedziała. - Może to i podejrzana sprawa, ale faktem jest, że chłopak wypisał się na własną prośbę. Nie wiem, jak tamten przekonał go do tego kroku, ale jakoś mu się udało. Więc kogo mamy zawiadamiać i o czym?

Na własną rękę zadzwoniła na oddział nagłych wypadków i poprosiła o adres miejsca, z którego policja wezwała pogotowie. Sprawdziwszy je na własnym planie, stwierdziła, że znajduje się ono w niebezpiecznej dzielnicy, w zupełnie innej części miasta niż ta, w której przed chwilą była.

Od tej pory zaczęła działać tak, jakby jej postępowaniem kierowała nie wolna wola, lecz jakaś wyższa, przemożna siła. Zeszła na parter i pożyczyła od koleżanki strój pielęgniarki rejonowej. Jutro po południu wyrwę się na chwilę, pomyślała, i zrobię to, co uważam za stosowne.

Rano znów opadły ją wątpliwości i poczuła potrzebę zwierzenia się komuś ze swych planów. Wiedziała, że Matt nie jest właściwą osobą. Jediną właściwą byłby... James. Szybko odegnała tę myśl. Musi wreszcie wyrzucić Jamesa ze swego życia!

Wszystko poszło gładko. W porze lunchu wyszła z oddziału, przebrała się w pożyczony strój i zarzuciła na siebie granatową pelerynę. Złapała taksówkę i podała adres.

- To niezbyt przyjemna okolica - stwierdził z niejakim zaskoczeniem kierowca.

Nie mogła się nadziwić, jak drastycznie zmienił się widok za oknem w przeciagu niecałych dziesięciu minut jazdy: z rejonu drogich sklepów i banków przenieśli się nagle do ubogiej; zaśmieconej dzielnicy walących się kamienic i zaniedbanych bloków. Czuła się tutaj jak obca w swoim własnym kraju.

- Mam na panią zaczekać? - spytał taksówkarz, gdy byli już na miejscu. - Niezbyt tu miło...

- Dziękuję, nic mi nie będzie. Zajmie mi to trochę czasu, więc lepiej niech pan jedzie.

Ruszyła przed siebie wąską uliczką bez wylotu - obskurne magazyny, zamknięte na kłódkę garaż, i nigdzie żywej duszy. Już miała zawrócić, gdy nagle znów owładnęła nią ta przeklęta pewność. Tym razem uczucie było tak silne, że aby się nie przewrócić, musiała oprzeć się o ceglana ścianę budynku. Czuła i wiedziała, że ktoś potrzebuje pomocy - gdzieś tutaj umierają ludzie!

Weszła po trzech wyszczerbionych stopniach i bokiem oparła się o duże, obite blachą drzwi magazynu. Zdumiona, zmarszczyła brwi - nad starą dziurką od klucza znajdował się nowoczesny, dopiero co założony zamek. Rozejrzała się wokół: ogrodzenie z drutu kolczastego, metalowe kraty w maleńkich oknach... Załomotała do drzwi. Nikt jej nie otworzył, więc odczekała pięć minut i załomotała ponownie. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje; wydawało jej się też, że za najbliższym oknem przemknął jakiś cień. Po raz trzeci walnęła pięścią w drzwi. Już miała zrezygnować, gdy nagle się otworzyły.

- Słucham panią - zwrócił się do niej uprzejmie wysoki, czarnoskóry mężczyzna.

Teraz, gdy wreszcie mogła z kimś rozmawiać, nie wiedziała, co powiedzieć. W swoich planach nie wybiegła myślą aż tak daleko.

- Dwa dni temu... - wyjąkała - była tutaj bójka. Pewien młody człowiek został ranny. Wie pan coś o tym?

- Niestety, nic mi o tym nie wiadomo. Ale tu często mamy do czynienia z przemocą, to nic nadzwyczajnego.

- Więc nie może mi pan pomóc? Tego chłopaka przedwcześnie wypisano ze szpitala. A on może być poważnie chory.

- Proszę pani, tu jest agencja handlowa. Zajmujemy się importem towarów z mojego ojczystego kraju. Nie słyszałem, żeby ktokolwiek był chory.

- Rozumiem. Widocznie się pomyliłam. Przepraszam za kłopot.

- Nie ma za co.

Mężczyzna nieznacznie uśmiechnął się i cofnął, by zamknąć drzwi.

Wtedy zauważyła, że ma on dwa złote zęby. Natychmiast przypomniała sobie, jak Matt opisał rzekomego wuja Johna.

- Złożę sprawozdanie, a później zjawi się tu policja - skłamała bez zastanowienia.

- Policja? A oni tu po co? Proszę, niech pani wejdzie, porozmawiamy. Zbyt późno uświadomiła sobie swój błąd.

- Nie, muszę już iść. Ja tylko...

Zorientował się, że ona coś podejrzewa. Gdy odwróciła się, by odejść, schwycił ją za ramiona i siłą wciągnął do środka, tak że straciła równowagę. Udało jej się obrócić nieco głowę i zobaczyła, że mężczyzna - już znacznie mniej uprzejmy - sięga po deskę. Nie zdołała uchylić się przed ciosem. Osuwając się na podłogę, czuła tylko potworny ból w głowie.

Resztką świadomości zarejestrowała to, co wydarzyło się potem: mężczyzna przewrócił ją na plecy i wywlókł za ręce do innego pomieszczenia, wykrzykując coś w niezrozumiałym dla niej języku; nadszedł ktoś inny, złapał ją za nogi i pomógł mężczyźnie znieść ją na dół; nie wiedziała, gdzie jest, poczuła tylko, że jest tu chłodniej niż na górze; następnie skrzypnęły jakieś drzwi, po czym rzucono ją na podłogę; gdy drzwi się zatrzasnęły, poczuła w nozdrzach dziwny zapach - jakby odór choroby...

Na chwilę straciła przytomność. Gdy ją odzyskała, uświadomiła sobie, że jest jej zimno i że odczuwa dojmujący ból w głowie i nadgarstku. Najchętniej

zamknęłyby oczy i zasnęła, lecz zrobiło jej się niedobrze, więc kilka razy odetchnęła głęboko, by nie zwymiotować. Z trudem udało jej się usiąść.

W półmroku zobaczyła, że ma wykręcone dwa palce u prawej ręki; bez namysłu je nastawiła - bolały, ale ból był do zniesienia. Gorzej było ze złamanym nadgarstkiem i pokiereszowaną głową... Nagle z całą mocą dotarło do niej, w jakiej sytuacji się znajduje, i ogarnęło ją przerażenie - została napadnięta i uwięziona, i Bóg wie co jeszcze może jej się przydarzyć w tej norze...

Nikomu nie powiedziała, dokąd jedzie, a teraz sama nie wie, gdzie jest. Żałowała, że nie wzięła kogoś z sobą. Zamknęła oczy.

W głowie huczało jej tylko jedno: „James, jestem tutaj! Przyjedź i uwolnij mnie!”.

Powoli wstała i rozejrzała się wokół. Znajdowała się w dużej, słabo oświetlonej piwnicy bez okien, z nisko zawieszonym sufitem i ścianami z cegły. Drzwi były zamknięte na cztery spusty. Ze zdziwieniem stwierdziła, że nie jest sama; przy przeciwległej ścianie ujrzała sześć łóżek polowych, na których leżeli jacyś ludzie - jęcząc, wzdychając, sapiąc. I ten straszny odór - odór choroby i rychłej śmierci...

Kierując się ku nim, natrafiła na otwarte drzwi do toalety. Wodą z brudnego kranu opłukała twarz i ręce.

Sześciu mężczyzn w sześciu łóżkach, wszyscy z takimi samymi bliznami po nacięciach plemiennych, jakie miał John. A w trzecim łóżku - on sam. Przytknęła dłoń do jego czoła - było rozpalone. A przecież w szpitalu nie miał gorączki. Co więc spowodowało tę zmianę, i to tak dosłownie z dnia na dzień?

Najbardziej chory był jednak inny z mężczyzn. Podeszła do niego i odrzuciła na bok prześcieradło, którym był okryty - odór omal jej nie zadławił. W pachwinie mężczyzny zobaczyła byle jaki opatrunek, spod którego wyzierało paskudne owrzodzenie. Obejrzała innego mężczyznę: i on również miał obrzękniętą pachwinę. Potwierdziło to jej podejrzenia: miała tu do czynienia z



przypadkami dżumy dymienicznej, choroby zakaźnej, zwanej w średniowieczu Czarną Śmiercią.

Usiadła na podłodze w drugim końcu pomieszczenia i próbowała zebrać myśli. Wiedziała, że logiczne myślenie pozwoli jej chociaż częściowo uwolnić się od strachu. Wróciły do niej strzępy wysłuchanych kiedyś wykładów, fragmenty przeczytanych książek - dotyczące tego, z czym, jak sądziła, nigdy osobiście się nie zetknie. Ostatnia epidemia tej choroby w Anglii wybuchła w latach dwudziestych; od tamtej pory notowano już tylko sporadyczne przypadki u osób powracających z zagranicy. Najgroźniejsza była odmiana przenoszona przez powietrze, ale na szczęście żaden z mężczyzn nie kichał. Wszystko wskazywało więc na to, że cierpieli oni na odmianę przenoszoną przez pchły - znacznie mniej zakaźną i stosunkowo łatwo uleczalną za pomocą, na przykład, tetracykliny. Gdyby umieścić tych mężczyzn w szpitalu, z pewnością by wyzdrowieli...

Drzwi do piwnicy otworzyły się.

Odwróciwszy się, zobaczyła w progu Złotozębego w towarzystwie jakiegoś olbrzyma - prawdopodobnie tego samego, który pomagał mu znieść ją do piwnicy.

- Ci ludzie są chorzy! - wykrzyknęła ze wszystkich sił; miejsce lęku zajęła w niej teraz złość. - Trzeba ich natychmiast zabrać do szpitala!

Twarz Złotozębego wykrzywił nieprzyjemny grymas.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Ale przynieśliśmy jedzenie, więc może ich pani nakarmić.

Olbrzym postawił na podłodze wielki gar.

- Tutaj nie mogę ich leczyć! Jeśli się wkrótce nie zjawię w szpitalu, przyjaciele zaczną mnie szukać.

Złotozęby uśmiechnął się złośliwie.

- Jak by wiedzieli, gdzie pani jest, już dawno by tu byli... Tak czy owak, zaryzykuję.

- Ci ludzie przebywają tu nielegalnie, prawda?

- Ręk do pracy potrzeba wszędzie. Tylko że oni przywlekli tu z sobą chorobę.

- Wie pan, że umrą, jeśli nie zapewnimy im leczenia? A może nawet gorzej... mogą wywołać epidemię.

Najwyraźniej nie miał ochoty o tym myśleć.

- Jak pani chce, niech ich pani nakarmi - syknął. - Nie mam czasu na głupstwa. Ta meta jest spalona. Będziemy musieli się przenieść.

- A co będzie ze mną?

- O wszystkim pani zapomni. Jak będziemy się wynosić, to panią wypuścimy.

Nie uwierzyła mu, lecz nim zdążyła się odezwać, drzwi się zamknęły. W garze była jakaś kukurydziana papka, którą próbowała podawać chorym łyżką. Oni jednak nie mieli apetytu, toteż przyniosła im wody.

Mężczyzna, który wyglądał na najbardziej chorego, zaczął głośno jęczeć. Zmierzyła mu tętno, wsłuchiwała się w oddech, przyłożyła dłoń do czoła. Niedługo umrze, pomyślała w panice. Podbiegła do drzwi, walnęła w nie pięścią, a potem zaczęła kopać.

- Ten człowiek umiera! - wrzasnęła na całe gardło.

Kiedy zrezygnowała z dalszych prób, uświadomiła sobie, że wokół panuje martwa cisza - żadnych rozmów, żadnych odgłosów z ulicy; jak na tak ruchliwe miasto jak Londyn, było to doprawdy niezwykle. Umrę tu, pomyślała, i nikt nawet się nie dowie...

Osunęła się na podłogę przy drzwiach. Głowa bolała ją coraz bardziej i znów zebrało jej się na mdłości. Poczula się śmiertelnie zmęczona. Gdyby choć na chwileczkę zamknęła oczy, to może poczułaby się lepiej...

Obudziła się. Coś mówiło jej, że spała całkiem długo. Ciało jej zdrtwiałło, miała piasek w oczach. Usłyszała szcęk otwieranych drzwi. Było

jej już wszystko jedno, co się z nią stanie. Nie miała nawet siły się zdziwić, gdy w progu ujrzała... Jamesa.

- Delyth, nic ci nie jest? - spytał z niepokojem.

Jednak trochę go obchodzi, pomyślała, gdy przykucnął obok niej.

- Mam guza na głowie i chyba złamany nadgarstek... - Chciała mu tyle powiedzieć, ale górę wzięła w niej lekarka.

- Posłuchaj, moim zdaniem ci ludzie mają dżumę. Trzeba ich...

- Wiem, co trzeba z nimi zrobić - wszedł jej w słowo. - Przestań teraz o tym myśleć. O wszystko już zadaliśmy.

Pomieszczenie zaczęło wypełniać się mężczyznami w białych kombinezonach i maskach. Szykowali się do przewiezienia jej pacjentów do szpitala. A właściwie nie byli to już jej pacjenci - teraz miał się nimi zająć kto inny. Szlochając, przytuliła się do Jamesa. Gdy się uspokoiła, szybko ją zbadał.

- Mówisz, że tylko głowa i nadgarstek? Na pewno nic więcej cię nie boli?

- Nie, i mogę chodzić.

Wyciągnął z kieszeni latarkę i w jej świetle obejrzał Delyth oczy.

- Nie wygląda mi to na wstrząśnienie mózgu, ale jeszcze to potem sprawdzimy.

Do piwnicy wjechały dwie pary noszy na kółkach. Jedna zatrzymała się obok Delyth. James ujął ją pod rękę, a pielęgniarz pod uda.

- Inni bardziej niż ja potrzebują...

- Nie jesteś teraz lekarzem, tylko pacjentem - przerwał jej James. -

Zrobiłaś już swoje, i teraz ja podejmuję decyzje. Zabieramy cię do szpitala. A w ogóle, dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Okropnie się przeraziłem. - Szedł obok niej, gdy wieziono ją ciemnym korytarzem, w którym roilo się od pielęgniarzy i policjantów.

- Ale skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?

- Zamieniłem się w detektywa. Wydarzyło się wiele rzeczy, o których nie wiesz.

- Więc chciałabym się dowiedzieć...

- Później do ciebie zajrzę. Oszczędzaj siły i pamiętaj, że jesteś moja pacjentką.

Nie mogła zrozumieć wyrazu jego twarzy. Czy widniało na niej, jakieś uczucie wykraczające poza to, co żywiłby wobec zwykłej koleżanki z pracy? Odniosła wrażenie, że tak. Lecz była przecież ranna w głowę, więc czy mogła ufać swoim wrażeniom?

Wniesiono ją do karetki.

- Wpadnę do ciebie najszybciej, jak to będzie możliwe - zapewnił. - Ale na razie mam tu jeszcze sporo roboty.

- Przyjdź prędko - szepnęła, zamykając oczy.

W szpitalu, do którego ją zawieziono, przydzielono jej osobny pokój i pielęgniarkę, która pomogła jej się umyć i przebrać. Potem przyszedł do niej lekarz w starszym wieku i dokładnie ją obejrzawszy, zlecił konieczne badania. Na koniec zrobiono jej zastrzyk z doksycyliny i poradzono, by się przespala.

Posłusznie przyłożyła głowę do poduszki, ale tamto pytanie wciąż nie dawało jej spokoju: jakim cudem James ją znalazł? Przypomniała sobie, jak rozpaczliwie wzywała go w myślach. Czyżby...? Nie, toż to czysta nedorzeczność!

Nazajutrz czuła się dziwnie - choć wiedziała, że powinna być w pracy, bardzo jej odpowiadało wylegiwanie się w łóżku. Poza lekkim kłuciem w głowie nie odczuwała bólu; była senna i rozleniwiona. Ucieszyła się, gdy pielęgniarka przyniosła jej śniadanie. Następnie zjawił się u niej młody lekarz, niejaki doktor Myers.

- Mam dla pani wiadomość od pani szefa, doktora Forrestera. Prosi, żeby nie zamartwiała się pani teraz pracą. Zamierza odwiedzić panią dziś po południu. A już niedługo zajrzy tu doktor Owen.

Serce zabiło jej jak szalone - i bynajmniej nie miało to związku z jej stanem zdrowia...

- Ludzie, których przywieziono razem z panią, leżą na oddziale piętro niżej - ciągnął doktor Myers. - Nigdy przedtem nie spotkaliśmy się z czymś takim.

- To dzuma, prawda? Jak oni się czują?

Doktor Myers w milczeniu zmarszczył brwi - najwidoczniej nie chciał naruszać tajemnicy lekarskiej.

- Proszę posłuchać - dodała szybko - przecież ja i tak ich znam. Można powiedzieć, że to również moi pacjenci.

To go przekonało.

- Niestety, jeden zmarł w nocy. Pozostałych faszerujemy doksycyliną, więc powinni wydobrzeć. Znaleźliśmy ich w samą porę. We wczesnym stadium chorobę dużo łatwiej wyleczyć.

Gdy wyszedł, z niecierpliwością czekała na przyjście Jamesa. Zjawił się około jedenastej. Miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę, jedwabny krawat.

- Zgrywamy ważniaka, co? - zagadnęła go ze słabym uśmiechem.

- Od rana rozmawiam z samymi ważnymi ludźmi: z lekarzami, policją, urzędnikami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Narobiłaś niezłego zamieszania.

- Opowiedz mi. Wciąż nie wiem, co się stało.

- Przede wszystkim wyłączyłem cię z tego. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebujesz, to rozgłos. Chyba nie chcesz dostać wezwania do sądu, prawda?

- Boże broń! Co by sobie pomyślała moja rodzina?

- Okazałoby się, że mają wyjątkową córkę i siostrę. Ale to tylko przy okazji... No więc miałaś pacjenta rannego w bójce. Nie mogłaś wiedzieć, że jest on we wczesnym stadium dżumy, bo krwi nie badano pod kątem chorób. W każdym razie pacjent okazał się nielegalnym imigranem, przeschmuglowanym przez naszego przyjaciela o złotych zębach. Chłopakowi znudziło się siedzenie w piwnicy, i próbował uciec. I właśnie wtedy go pobito. Złotozęby dowiedział

się, w którym przebywa szpitalu, przyszedł na oddział i postraszył go, że jeśli nie wróci grzecznie do magazynu, to deportują go z Anglii jako nielegalnego imigranta. Dlatego chłopak się wypisał. No a potem choroba zaczęła postępować. Zaatakowała i jego, i kolegów. Wszystko wskazuje na to, że zarazili się nią jeszcze w swoim własnym kraju. Złotozęby nie wiedział, co z tym począć. Teraz zgodził się na współpracę z policją. Mają na niego dość, żeby na długo go zamknąć, nawet nie licząc napadu na ciebie.

Była to smutna historia, lecz Delyth wciąż nie wiedziała najważniejszego.

- Jak mnie znalazłeś?

- To był czysty przypadek, Delyth. Ci ludzie potrafią być gwałtowni, groźni... Po prostu przyszedłem na oddział, a ciebie tam nie było. Zdziwiło mnie to, więc spytałem Matta, gdzie się podziewasz. Powiedział, że poprosiłaś o wolne popołudnie. Trochę go przycisnąłem, a wtedy wspomniał, że martwiłaś się o pacjenta, który przedwcześnie się wypisał. No to obejrzałem jego kartę i z niej dowiedziałem się, że na początku był na oddziale nagłych wypadków. Tam z kolei powiedzieli mi, że o niego wypytywałaś. Matt dodał też, że widział, że pożyczylaś od koleżanki strój pielęgniarki rejonowej. Wtedy coś mnie tknęło.

Poprosiłem w laboratorium, żeby jeszcze raz przebadali krew chłopaka, tym razem również pod kątem chorób. Gdy w wynikach pojawiło się słowo „dżuma”, natychmiast powiadomiłem policję i Ministerstwo Zdrowia. Teraz sprawa jest w dobrych rękach i wszystko dobrze się skończy. Budynek zostanie odkażony, a ludzie wyleczeni. Ot, i cała historia.

- No dobrze, a kiedy ja stąd wyjdę?

- Niedługo, ale i tak nie możesz wrócić prosto na oddział. Po pierwsze, trzeba cię wyleczyć, a po drugie, nasz Forrester uważa, że po tak traumatycznym doświadczeniu należy ci się miesiąc wolnego. Wspominał też coś o wizycie u psychologa.

- Nie pójdę do żadnego psychologa!

- Ale na urlop koniecznie. Tutejszy konsultant orzekł, że miesiąc wolnego to doskonały pomysł. Ja też jestem tego zdania.

- No już dobrze, niech będzie.

- Cieszę się, że jesteś rozsądna. W przyszłym tygodniu jadę na dwanaście dni do Francji. Podczas pobytu tam wołałbym nie musieć się o ciebie martwić.

- Dzięki za troskę... - Po co jedzie do Francji? - zainteresowała się w duchu. Głośno zaś dodała: - Zadałeś sobie tyle trudu tylko dlatego, że nie zastałeś mnie na oddziale? Czemu trochę nie odczekałeś, do chwili, w której okazałoby się, że naprawdę zaginęłam? Mogłam przecież wyjść po zakupy czy gdziekolwiek.

Wzruszył ramionami.

- To do ciebie niepodobne. Byłem przekonany, że coś jest nie tak.

Postanowiła złapać go za słowo.

- Byłeś przekonany?! Przecież Matt się o mnie nie martwił. Więc czemu ty miałbyś się martwić?

- Tak czy owak, wyszło na to, że dobrze, że się martwiłem - podsumował trochę poirytowany.

- To było wczesnym popołudniem, prawda?

Widziała, że dla niego rozmowa staje się coraz bardziej kłopotliwa, ale nie zamierzała zrezygnować.

- Tak, chyba tak... Nie było cię na oddziale i wydało mi się to podejrzane.

- Posłuchaj, kiedy wtrącili mnie do tej piwnicy, to przez chwilę byłam nieprzytomna. Gdy jednak odzyskałam świadomość, byłam przerażona swoim beznadziejnym położeniem. Zupełnie nie wiedziałam, co robić. Zaczęłam więc myśleć o tobie, intensywniej niż kiedykolwiek przedtem. Chciałam, żebyś był przy mnie; wzywałam cię, żebyś mnie uwolnił. To było wczesnym popołudniem. I właśnie wczesnym popołudniem zacząłeś się o mnie martwić...

Uśmiechnął się pobłaźliwie, co bardzo ją rozżłościło.

- Znowu ten twój szósty zmysł, co? Nie, Delyth, nic z tych rzeczy. Po prostu zaniepokoiłem się o swoją koleżankę z pracy. Gdyby zniknął ktoś inny, postąpiłbym tak samo.

- Jesteś tego pewien?

- Owszem, jestem pewien - odparł zdecydowanie.

## ***ROZDZIAŁ ÓSMY***

James doskonale zdawał sobie sprawę, że czynność, którą wykonuje w tej chwili Matt, jest dla młodszego lekarza nie lada wyzwaniem. Zarówno jednak igła, jak i kaniula znalazły się dokładnie tam, gdzie powinny.

- Dobrze się spisałeś - pochwalił szczerze mniej doświadczoną kolegę, gdy było już po wszystkim.

Poszli razem na kawę do pokoju lekarzy. Matt, zwykle rozmowny i serdeczny, był dziwnie milczący i ponury.

- Domyślam się, że widziałeś się z Delyth? - zwrócił się do Jamesa po chwili krępującej ciszy.

- Owszem. Ma się dobrze, ale jeszcze trochę potrwa, zanim wróci do pracy.

Na moment znów zapadło niezręczne milczenie, po czym Matt zapytał:

- Czy moglibyśmy kiedyś zamienić parę słów?

- Zawsze chętnie ci pomogę. Teraz mam trochę czasu, więc jeśli...

- Nie chodzi o pomoc w pracy. To... sprawa osobista - wydukał Matt, wyraźnie zakłopotany. - Może lepiej spotkalibyśmy się gdzieś w mieście.

- Jak sobie życzysz - odrzekł James bez entuzjazmu. - Chodzi o Delyth, prawda?

- Tak.

- To może dziś wieczorem w klubie? Około dziewiątej?

- Doskonale, i... dziękuję. Wrócę już do pacjentów.



James odprowadził go wzrokiem. Zaraz potem spostrzegł, że chłopak nawet nie tknął swojej kawy; i ten jego oficjalny ton... Obawiał się, że wie, co Matt zamierza mu powiedzieć. Nie był natomiast pewien, co mu na to odpowie.

Przyszedł do klubu przed dziewiątą, by w samotności wypić drinka i zebrać myśli. Kiedy znalazł się w sali, uprzytomnił sobie, jak bardzo brakuje mu wieczorów spędzanych tu wspólnie z Delyth. A przecież była to jego własna decyzja.

Kupił po jednym piwie dla siebie i dla Matta. Przypuszczał, że Matt spyta go, jakiego rodzaju uczucia żywi do Delyth, jednak w dalszym ciągu nie miał pojęcia, co mu odpowie. Rozmyślał nad tym całe popołudnie, ale bez skutku. Przyłapał się na tym, że zależy mu na Delyth bardziej, niżby sobie tego życzył. Może zatem pomylił się w ocenie swoich uczuć do niej? Wzruszył ramionami i natychmiast odegnał tę niedorzeczną myśl - przecież wie, czego chce, i nie zamierza podawać tego w wątpliwość.

Dobrze pamiętał, co znaczy być zakochanym. Wiedział, ile radości wnosi do życia miłość. Ale gdy tylko o tym pomyślał, od razu przypomniał sobie przeraźliwe poczucie straty, jakiej doznał później, i to dwukrotnie. Nie, nie miał siły jeszcze raz przechodzić przez podobny ból.

Gdy Matt wszedł do klubu, na jego twarzy malowało się zakłopotanie i zdecydowanie zarazem. Podeszedł szybko do stolika i usiadł obok Jamesa.

- Kupiłem ci piwo - rzekł James na powitanie. - Pewnie będziemy rozmawiać o tym, że jesteś zakochany w Delyth, ale nie wiesz, czy możesz liczyć na wzajemność?

- Więc wiesz? - Matt był szczerze zdumiony.

- Nie jestem ślepy - odparł James z uśmiechem.

- Byliśmy... tylko przyjaciółmi. I na razie... nic się nie zmieniło.

Wyrzucam sobie jednak, że tak zlekceważyłem jej obawy o Johna, tego czarnoskórego pacjenta. Próbowwała mi się zwierzyć, a ja nie zwróciłem na to uwagi. A potem ciebie coś tknęło, i w końcu to ty ją znalazłeś.

- To był czysty przypadek.

Jednak w duchu James miał co do tego wątpliwości. Dlaczego aż tak się o nią martwiłem? - przemknęło mu przez głowę; czemu zadałem sobie tyle trudu? W końcu okazało się, że się nie mylił, ale przecież wcale nie musiało tak być. Nieodparcie nasuwało mu się słowo „intuicja”, lecz swoim zwyczajem odrzucił je: co za bzdury!

- Tak czy owak, bardzo ci dziękuję. Ona jest dla mnie... To znaczy chciałbym, żeby... łączyło mnie z nią coś więcej niż przyjaźń...

- I przyszedłeś mnie ostrzec, żebym trzymał się od niej z daleka?

Pytanie to wprowadziło Matta w zakłopotanie.

- Tak - odparł, czerwieniejąc po same uszy. - Myślę, że to... niegodne, żeby członek starszego personelu wykorzystywał swoją pozycję zawodową do celów... emocjonalnych.

James poczuł, jak wzbiera w nim złość. Jakim prawem ten młokos wtrąca się w jego sprawy? I ma czelność podejrzewać go o... Co on sobie wyobraża? Że tylko on jeden coś czuje?

Odczekał chwilę, aż wzburzenie przeminie, po czym spokojnym głosem rzekł:

- Powiedzenie mi tego musiało cię wiele kosztować. To świadczy o odwadze.

Matt, nieco speszony tą nieoczekiwaną uwagą, odchrząknął i mruknął pod nosem:

- Może i tak...

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu.

- Nie będę z tobą omawiał moich stosunków z Delyth - odezwał się wreszcie James. - Jeśli zechce, być może sama powie ci coś na ten temat. Ja powiem ci tylko - ciągnął - że mam o niej równie dobre zdanie co ty. I zapewniam, że nigdy nie wykorzystalbym swojej pozycji do jakichś... niecnych celów. Całkowicie podzielam twoją opinię, że byłoby to niegodne.

- A więc nie jesteś nią zainteresowany... to znaczy, nie w taki sposób?

James opróżnił szklanę i zerknął na niemal nietknięte piwo Matta.

- Twoja kolej - orzekł, pokazując zęby w uśmiechu.

- Dobra, kupię ci piwo. Da ci to czas na przemyślenie odpowiedzi.

Gdy chłopak wrócił, James odpowiedział mu następująco:

- Jak już wcześniej wspomniałem, nie mam zamiaru rozprawiać o szczegółach moich kontaktów z Delyth. Ograniczę się więc tylko do jednego staromodnego sformułowania: że zachowam się wobec niej jak przystało na dżentelmena. Wierzysz mi?

- Tak - odparł Matt po chwili zastanowienia. - I mam nadzieję, że gdy przybędzie mi lat, to będę taki jak ty.

- To znaczy?

- Bystry i sprytny.

- Nie odpowiada mi rola pacjentki - pożałowała się Delyth.

Podniosła głowę i popatrzyła na swego szefa, doktora Michaela Forreстера.

Zwykle stali obok siebie w białych fartuchach albo w zielonych strojach operacyjnych. Dziś jednak on ubrany był w elegancki trzyczęściowy garnitur, a ona w nocną koszulę w kwiatki. I w dodatku leżała w łóżku.

- Doskonale to rozumiem - zapewnił z powagą. - Ale być może wszystkim nam przyda się doświadczenie, że tak powiem, od drugiej strony.

Ciekawe, kiedy ostatnio kazano mu leżeć w łóżku, mimo że on sam wiedział, że nic mu nie dolega, pomyślała.

- No i cieszę się ogromnie z postępów w zdrowieniu - dodał z uśmiechem.

- Rzeczywiście, czuję się dużo lepiej - podchwyciła natychmiast. - I myślę, że już niedługo powinnam wrócić do pracy. Przepraszam, że zachowałam się tak nierozważnie, ale...

- W pewnym sensie było to godne podziwu - przerwał jej, unosząc rękę w geście protestu. Przysunął sobie krzesło i usiadł obok łóżka, co jak na konsultanta odwiedzającego podwładną było zachowaniem niezwykłym.

Oho, zanosi się na dłuższą pogawędkę, westchnęła w duchu.

- Pozwoliłem sobie zasięgnąć o pani trochę informacji - ciągnął. - Zazwyczaj niewiele wiemy o młodszych lekarzach trafiających na oddział, i może to błąd. Powiedziano mi, że była pani nad wyraz pilną studentką i że po uzyskaniu dyplomu nie wyjechała pani na zasłużone wakacje, tylko pomagała w pracy doktorowi Alunowi Robertsowi, lekarzowi ogólnemu z miejscowości, w której się pani urodziła.

- To właśnie on zachęcał mnie do studiowania medycyny i nieraz mi pomagał. Więc gdy wreszcie ja mogłam zrobić coś dla niego...

- Rozumiem, chciała pani okazać mu wdzięczność. Wracając jednak do najważniejszego: muszę z całą mocą podkreślić, że w wiadomej sprawie niewłaściwie oceniła pani sytuację i popełniła poważny błąd. Na szczęście tym razem konsekwencje nie były katastrofalne. Ale mogło też być inaczej... Tak czy owak, powinna była pani przynajmniej poinformować innych, co myśli o całej tej sprawie i co zamierza zrobić. Trzeba, żeby inni zawsze wiedzieli o naszych poczynaniach.

- Ma pan rację - mruknęła pod nosem.

Na stoliku obok łóżka położył wymiętą kopertę. Gdy ją otworzyła, wysunęło się z niej dziesięć funtów.

- To od pacjenta nazwiskiem Birdie Jones - oznajmił. - Pytał wczoraj o panią. Kiedy powiedziałem, że na razie nie ma pani w pracy, poprosił, żebym to pani oddał. Udało mi się z niego wyciągnąć, co to za dług...

- Z moimi własnymi pieniędzmi mogę robić, co mi się podoba - wtrąciła szybko. - Miałam prawo mu je pożyczyć.

- Nie przeczę. I muszę przyznać, że spodobał mi się ten Birdie Jones. Oczywiście, jako lekarze musimy okazywać troskę i współczucie. Zawsze

musimy pamiętać, że mamy do czynienia z człowiekiem, a nie z przypadkiem choroby. Ale chcę też powiedzieć, że nie można zbyt angażować się w życie pacjenta. Naszym zadaniem jest leczenie. Na nic więcej nie mamy czasu ani środków. Podkreślam to, bo sądzę, że ma pani kłopot z ustaleniem właściwych granic, i uważam, że to niebezpieczne. A poza wszystkim, jest pani przemęczona. Dlatego też zalecam jeszcze trzy tygodnie odpoczynku.

Rozumiemy się?

- Oczywiście. - Wiedziała, że tak naprawdę nie ma wyboru.

- To świetnie. Mamy już pewność, że nie jest pani zarażona, a głowa i nadgarstek dobrze się goją. Wiem, że mogłaby pani pojechać do domu, do Walii. Doktor Owen opowiadał mi o pani rodzinie. Wpadłem jednak na inny pomysł. Otóż mój brat ma duży dom na wsi, na południu Francji, znakomicie przystosowany do przyjmowania gości. Jeździ tam wielu lekarzy od nas, jako że mamy umowę z tamtejszym pobliskim szpitalem. Niebawem uda się tam do pracy doktor Owen. Chciałbym, żeby wyjechała pani razem z nim, tyle że nie do pracy, a na solidny odpoczynek.

- Czy... pytał go pan o zgodę?

- Jeszcze nie, ale jestem przekonany, że niezwykle się ucieszy z takiego rozwiązania.

Pomyślała, że doktor Forrester nie mylił się, stwierdzając, że powinien więcej wiedzieć o młodszych lekarzach z oddziału. Gdyby wiedział, nigdy by czegoś takiego nie zaproponował...

- Jakiś czas w cieplejszym klimacie dobrze pani zrobi - kontynuował. - I jeszcze jedno: nie wróci pani do szpitala, dopóki nie uznam, że jest pani zdolna do pracy. Co pani myśli o mojej propozycji wyjazdu?

- Pojadę z największą przyjemnością, o ile doktor Owen nie będzie miał nic przeciwko temu.

Ależ mi się pali do tego wyjazdu, pomyślała; ciekawe, dlaczego... Przecież James wyraźnie powiedział, że nie widzi dla nas przyszłości...

Pod nieobecność Delyth w papierkowej robocie uzbierały się spore zaległości. Nadrobienie ich przypadło w udziale Mattowi, który wywiązywał się z tego zadania bez entuzjazmu, lecz bardzo skrupulatnie.

Widząc to, James zaoferował mu pomoc. Teraz obaj siedzieli w pokoju lekarzy i w przyjaznym milczeniu wypełniali kolejne formularze.

Nagle drzwi się otworzyły i ukazała się w nich głowa doktora Forrestera.

- Właśnie byłem u Delyth - oznajmił. - Trzeba przyznać, że szybko nam zdrowieje. Wykonałem kilka telefonów i załatwiłem zastępstwo za nią na najbliższe dwa tygodnie. James, wiem, że w przyszłą niedzielę jedziesz do Villeneuve. Uznałem, że byłoby dobrze, gdyby Delyth wybrała się tam z tobą, na małą rekonwalescencję. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Jeśli tylko jej to odpowiada... Wynająłem duży samochód, oboje się zmieścimy.

- A zatem wszystko ustalone - ucieszył się doktor Forrester i zamknął drzwi.

James popatrzył na Matta i wzruszył ramionami.

- Nie ja to wymyśliłem...

- Wiem. Liczę na butelkę dobrego francuskiego wina.

Po tygodniowym pobycie w Walii Megan wróciła pociągiem do Londynu i natychmiast odwiedziła swą ranną siostrę.

- No więc jadę z nim do Francji - oznajmiła jej Delyth. - Myślisz, że to dobry pomysł?

- Sam wyjazd do Francji tak, ale czy w towarzystwie Jamesa? No nie wiem...

- Przecież nie będzie mi się... narzucał...

- To wiem, i wcale nie tego się obawiam. Martwi mnie nie jego zachowanie, ale stan twoich uczuć. Nigdy przedtem nie widziałam, żebyś coś tak przeżywała. Boję się, że pakujesz się w sytuację, w której możesz zostać zraniona. No a co z tym drugim, młodym lekarzem, z którym się spotykałaś?

Delyth westchnęła. Nie była zachwycona sposobem, w jaki potraktowała Matta, ale Bóg jej świadkiem, że starała się jak najlepiej wyjaśnić mu swoje uczucia.

- Odwiedził mnie tu i był jak zwykle słodki i kochany. Ja jednak uświadomiłam sobie, że wykorzystuję go do tego, żeby zapomnieć o Jamesie. To bardzo nie fair. No więc powiedziałam mu, że bardzo go lubię i mam nadzieję, że nadal będziemy przyjaciółmi, ale że nie powinien spodziewać się niczego więcej.

- Musiał być w siódmym niebie - zakpiła Megan. - No i co mówił?

- Było mu trochę przykro, ale w sumie przyjął to całkiem dobrze.

Powiedział, że przeżyłam wstrząs, że potrzebuję odpoczynku, że nie czas teraz na podejmowanie decyzji. Zapewnił, że nie będzie mi się narzucał.

- Pocziwina - orzekła Megan, obrywając winogrono z kiści, którą przyniosła. - Na pewno cię nie interesuje?

- Czułabym się lepiej, gdyby się zezłościł, do czego miał przecież prawo. Po tym wszystkim jeszcze bardziej go lubię i szanuję.

- Ale nie jesteś w nim zakochana?

- Nie, nie jestem.

- Czyli że wszystko po staremu, a już myślałam, że się na coś zdecydowałaś. Naprawdę się o ciebie martwię. Powiedziałaś mi, że wiesz, że związek z Jamesem jest niemożliwy. Miałaś przestać myśleć o nim w tych kategoriach, mieliście być po prostu przyjaciółmi. Uważałam to za bardzo sensowne rozwiązanie. No bo przecież on wyraźnie określił swoje stanowisko... A teraz widzę, że mimo wszystko ciągle masz nadzieję. Nie mylę się, prawda?

- No, nie...

- Posłuchaj, fakt, że James odwiózł mnie do domu, nie dowodzi jeszcze, że chciałby się z tobą związać. A może widzisz w nim rycerza na białym koniu, który przybył z odsieczą, żeby uchronić cię przed niebezpieczeństwem?

- Jestem dla niego znajomą i koleżanką z pracy. Lubi mnie.

- I na tym koniec? A jednak wydaje ci się, że ty lepiej od niego wiesz, co on myśli i czuje.

Delyth przypomniała sobie swoje nieme błaganie o pomoc, gdy była zamknięta w piwnicy. Nikt inny się o nią nie martwił - tylko on usłyszał jej wołanie. I w końcu ją odnalazł.

- Sama już nie wiem, czego on chce. Miał ciężkie, poplątane życie. Wyczuwam w nim jakiś mrok, ale może z czasem... to się zmieni.

- Na siedem sióstr sześć artystek. A ta jedna, która mieni się człowiekiem nauki, pozostaje głucha na wskazania rozumu i logiki. Oj, Delyth, źle z tobą! Pchasz się temu facetowi prosto w ręce. Powiedział ci, że nie ma nic przeciwko przygodzie, więc nie miej do niego pretensji, jeśli wykorzysta okazję, którą mu stwarzasz...

- Niczego mu nie stwarzam. Po prostu jedziemy razem do Francji... A swoją drogą, nie chciałabyś Jamesa za szwagra?

- Poddaję się - jęknęła Megan.

Gdy James ponownie odwiedził Delyth, nie była już taka pewna swego. Może Megan miała rację, myślała, może James nie ma jej do zaofiarowania nic poza życzliwością i sympatią?

W sobotę miała zostać wypisana ze szpitala i wrócić do hotelu. Musiała się spakować i możliwie jak najwcześniej położyć spać.

- Pamiętaj, jak może człowieka zmęczyć kilka dni spędzonych w łóżku - przestrzegł ją James. - Kiedy wstaniesz, z początku trudno ci będzie ustać na nogach.

- Niech się dzieje co chce, bylebym się wreszcie wydostała z tego oddziału. Bezczytność doprowadza mnie do szału.

- W niedzielę będziesz musiała wstać wpół do piątej rano. Złapiemy prom z Portsmouth, który odpływa wpół do ósmej. Wiesz, jakie ubrania zabrać? We Francji jest cieplej niż w Anglii, ale jedziemy do Akwitanii, a tam często padają ulewne deszcze.



- Wiem, czytałam książkę o tym regionie, i na pewno wezmę odpowiednie rzeczy. I naprawdę się cieszę, że tam jedziemy. Aha, jeszcze jedno: sama zapłacę za podróż. Nie zamierzam...

- Wszystko jest już opłacone - przerwał jej - będą ci jednak potrzebne pieniądze na pobyt. Wypisz mi czek na sto funtów, to zajmę się wymianą. Coś jeszcze?

Jak zwykle, wszystko świetnie zorganizował, ale nie było w tym żadnego szczególnego uczucia. Wiedziała, że tak samo zachowałby się wobec każdej innej znajomej osoby - i trochę ją to bolało. Jednak mają przecież spędzić z sobą tak dużo czasu; może w sprzyjających okolicznościach zrodzi się między nimi miłość...

Zgodnie z przewidywaniami Jamesa była bardzo osłabiona. Serdecznie podziękowała Mattowi, który przyjechał po nią taksówką, zaprowadził do hotelu i zaparzył herbatę.

- Gdybym mógł ci w czymkolwiek pomóc, wiesz, gdzie mnie znaleźć - powiedział, wychodząc z jej pokoju.

- Dzięki, Matt. Prawdziwy z ciebie przyjaciel.

Pakowanie nie zajęło jej dużo czasu. Zamknąwszy walizkę, położyła się do łóżka, by odpocząć.

Pomyślała o rodzicach. Megan obiecała, że napisze do nich list. Przyrzekła zachować w tajemnicy niebezpieczną przygodę Delyth; miała natomiast wspomnieć, że Delyth jest bardzo zajęta i że wyjechała do szpitala we Francji na szkolenie. Nie było to oczywiście kłamstwem, niemniej jednak Delyth była zdziwiona, że nie ma żadnego poczucia winy z powodu uraczenia rodziców taką półprawdą.

Gdy ogarnęła ją senność, nastawiła budzik na wpół do piątej i zgasła światło. Była przyzwyczajona do wczesnego wstawania, więc wiedziała, że nie sprawi jej to trudności.

Kiedy się obudziła, wciąż jeszcze było ciemno. Wzięła gorący prysznic, włożyła dres, schowała do podręcznej torby koszulę nocną i przybory toaletowe.

James zjawił się punktualnie. Wszedł na górę, by znieść jej bagaże. Ubrany był w sztruksowe spodnie i luźny sweter. Patrząc na niego, poczuła, że czeka ich wspólna przygoda, że stoją u progu czegoś więcej niż tylko zwykłej podróży.

Zeszli do samochodu - wiśniowego discovery, nieco mniejszego i nowocześniejszego niż land-rover Megan. Na tylnym siedzeniu leżały dokumenty i sprzęt, które mieli zawieźć do szpitala we Francji.

- Fantastycznie, że stąd uciekamy, prawda? - zauważył James, gdy mijali długi sznur samochodów zmierzających w odwrotnym kierunku, do centrum miasta.

- Czuję się tak jak wtedy, kiedy byłam dzieckiem, kiedy całą rodziną wyjeżdżaliśmy na wakacje; kiedy o świcie świat budził się do życia.

Poszperał w kieszeni i włączył kasetę. Wnętrze samochodu wypełniła melodia piosenki miłosnej w wykonaniu Leny Horn.

- Bardzo ją lubię - powiedziała.

- Owszem, mnie też się podoba - odrzekł z uśmiechem. - Ale szczerze mówiąc, zadzwoniłem do Megan i spytałem, jaką lubisz muzykę. Kupiłem tę taśmę specjalnie dla ciebie.

- Ach tak. - Nie wiedziała, co o tym myśleć. Dotarłszy do Portsmouth, ustawili się w kolejce na prom.

- Uwielbiam podróżować, to takie ekscytujące - wyznał, gdy byli już na pokładzie. - Będziemy płynąć sześć godzin. Pomyślałem, że może wyszlibyśmy na spacer, potem zjedli śniadanie, a potem położyłabyś się spać.

- Dobrze, odpowiada mi ten plan.

Aby znaleźć się na świeżym powietrzu, musieli pokonać sporo schodków, co dla osłabionej Delyth okazało się nie lada wysiłkiem.

- Jak przyjedziemy do Villeneuve, to pokażę ci parę wzmacniających ćwiczeń; po tygodniu poczujesz się jak nowo narodzona. Ale będę pilnował, żebyś się nie przeforsowała.

- Tak jest, panie doktorze - odrzekła z udawaną pokorą.

Oboje nabrali ochoty na śniadanie. Puściwszy balustradę, Delyth zachwiała się lekko, a wówczas James natychmiast otoczył ją ramieniem - oczywiście wyłącznie po to, by ją podtrzymać. Na sekundę przytuliła się do niego, i było to bardzo przyjemne. Jednak gdy tylko odzyskała równowagę, odsunęła się. To miło, że nie pozwolił jej upaść i że dba o jej potrzeby. Okaze mu wdzięczność, nie spodziewając się po nim tego, czego on nie chce. Gdyby jednak okazało się, że jednak chce, to ona...

W kafeterii zajęli stolik przy oknie. James przyniósł tacę z jajkami na bekonie, sokiem pomarańczowym i herbatą.

- Musisz być strasznie zmęczona - zauważył siadając. Była wyczerpana, ale nie zamierzała się do tego przyznać.

- Wcale nie - zaprzeczyła, szeroko ziewając.

- Nie martw się, zdążysz wypocząć. Chodźmy do naszej kajuty.

- Naszej?

- Więc dobrze, do twojej. Chodziło mi o to, że na każdy podwójny bilet przypada jedna kajuta.

Poszli na dół schodkami i potem przed siebie długim korytarzem. Po chwili James sprawdził numer na drzwiach i otworzył je. W małej kajucie znajdowały się dwie koje, jedna nad drugą. Była tam także drabinka i wieszaki na ubranie. Drugie drzwi prowadziły do równie mikroskopijnej łazienki z prysznicem. Wszystko to wyglądało bardzo przytulnie.

- Do łóżka! - rozkazał jej żartobliwie. - Obudzę cię na czterdzieści pięć minut przed zawinięciem do portu. Będiesz miała czas, żeby wziąć prysznic i coś przekąsić.

- No a ty? - zaniepokoiła się, marszcząc brwi. - Ty też powinieneś się przespać.

- Zdrzemnę się na leżaku. Lekarz zaśnie byle gdzie.

- Nie ma mowy. To byłoby niesprawiedliwe. Zajmij górną koję. Jeśli odmówisz, będę bardzo nieszczęśliwa. Poza tym, czeka cię jeszcze długa jazda z bezcennym ładunkiem: mną.

- Zgadza się, ten ładunek jest rzeczywiście bezcenny. Więc dobrze, połów się spać, a ja obiecuję wrócić tu za godzinę.

- Weź klucz.

Gdy wyszedł, przebrała się w koszulę nocną. Zamierzała przemyśleć jeszcze kilka spraw, ale gdy tylko zamknęła oczy, od razu usnęła.

Obudził ją zapach kawy.

- Niedługo będziemy na miejscu - oznajmił James, podając jej plastikową filiżankę. - Wypij to, a potem weź prysznic.

- Tak długo spałam?

- Jak dziecko. Przyszedłem tu po godzinie i chodziłem na palcach, ale ciebie i armaty by nie obudziły. Więc ja również się położyłem. - Przeczesał dłonią wilgotne włosy. - Ja już wziąłem prysznic. Zostawię cię teraz na dwadzieścia minut, a potem wyjdziemy popatrzeć, jak dobijamy do brzegu.

Wziąwszy prysznic, poczuła się odświeżona, podekscytowana, gotowa na następną część podróży. James wrócił po nią i poszli do kafeterii coś zjeść, a następnie obserwowali z pokładu, jak prom zawija do portu.

Gdy byli już z powrotem w samochodzie, naprawdę poczuli, że są we Francji. Posłusznie podążyli za znakiem, który kazał im skręcić w prawo, i dołączyli do długiego sznura samochodów, przeważnie z brytyjską rejestracją. Wszystko tu było inne niż w Anglii - pola, drogi, domy, pogoda.

- Znowu na łodzi - ucieszył się James. - Wspaniały początek czegoś nowego.

- Właśnie - przytaknęła. - Początek czegoś nowego...

Przejechali przez Normandię do autostrady w Tours. Po niecałych dwóch godzinach jazdy James zatrzymał samochód.

- Na długiej trasie trzeba robić przerwy - stwierdził. - Rozprostujemy kości i napijemy się czegoś.

Gdy wrócili do auta, podał Delyth plastikową torbę.

- Wybierz jakąś kasetę.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wołałabym z tobą porozmawiać.

- Proszę bardzo, mów, o czym tylko chcesz. Potrafię słuchać.

- Wiem. Potrafisz też mówić, a nawet przygadać. Ale ostatnio bardzo łagodnie się ze mną obchodziłeś. To ze względu na moją biedną, poharataną głowę, prawda?

- Prawda.

- No więc teraz oficjalnie ogłaszam, że jestem już zdrowa. Chcę cię o parę rzeczy zapytać i parę rzeczy ci powiedzieć. - Zamilkła na chwilę, po czym spytała: - Wiesz, że składałam zeznania na policji?

- Owszem, pozwolono mi nawet na nie zerknąć.

- Poza tym jednym, wszyscy obchodzili się ze mną jak z jajkiem. Nikt mnie o nic nie pytał, w obawie, że mogłabym się załamać. Nawet ta policjantka była dla mnie wyjątkowo miła. Czułam się jak inwalidka. I jakby tego było mało, jeszcze ta propozycja wizyty u psychologa!

- Moim zdaniem, powinnaś się była na nią zgodzić. Po tym, co przeszłaś, wielu ludzi nie byłoby w stanie normalnie funkcjonować.

- Widocznie jestem silniejsza psychicznie. Chciałabym wrócić do tamtych wydarzeń.

- Jesteś pewna, że to dobra myśl? - Zerknął na nią z ukosa.

- Znakomita. Ale to ciebie będziemy przesłuchiwać, nie mnie. Już cię o to pytałam, teraz domagam się bardziej szczegółowej odpowiedzi. - Odetchnęła głęboko. - Ustaliliśmy, że zachowałam się niemądrze, poszukując tego chłopaka w tajemnicy przed wszystkimi. Kiedy zniknęłam ze szpitala, Matt, który bardzo

się o mnie troszczy, wcale się tym nie przejął. Natomiast ty, owszem. Dlaczego tobie, tak zajętemu lekarzowi, przyszło nagle do głowy, że mogę być w niebezpieczeństwie? Czemu zadałeś sobie tyle trudu, żeby sprawdzić, dokąd mogłam pójść? I nawet zawiadomiłeś policję. Na pierwszy rzut oka, wszystko to wcale nie było konieczne.

- Było. A im bardziej zagłębiałem się w sprawę, tym bardziej byłem pewien, że coś jest nie tak.

- Ale dlaczego w ogóle się o mnie martwiłeś?

- Wiem, do czego zmierzasz - powiedział ze śmiechem. - Uważasz, że dzięki swojemu szóstemu zmysłowi telepatycznie się ze mną skontaktowałaś. Myślałem, że ten głos dotyczy tylko chorych.

Zignorowała jego trochę kpiący ton.

- Bo dotyczy. Ale zrozum, ja byłam przerażona jak nigdy w życiu. Leżałam tam i próbowałam z tobą rozmawiać. Po tym, gdy cię wezwałam, od razu poczułam się lepiej. A kiedy stanąłeś w drzwiach do piwnicy, wcale nie byłam zaskoczona.

- To tylko twoja wersja. A przecież najistotniejsze w tym wszystkim jest to, że byłaś, jak sama mówisz, przerażona, dezorientowana, niezdolna do logicznego rozumowania. W takim stanie umysł chwyta się każdego pocieszenia. Przykro mi, ale nic więcej się za tym nie kryje.

- Może... W takim razie, jak wyjaśnisz swoje postępowanie? Wzruszył ramionami.

- Matt się nie martwił, bo widział cię na krótko przed twoim wyjściem całą i zdrową. Kiedy ja zjawiłem się na oddziale, twoje zachowanie wydało mi się trochę dziwne. I szybko zebrałem dość informacji, żeby poważnie się zaniepokoić.

Jego wytłumaczenie przekonało ją - ale nie do końca...

- Przepraszam, że podaję w wątpliwość twoją teorię - dodał po chwili milczenia - zawsze jednak byłem racjonalistą. Mimo to nadal jesteśmy przecież

przyjaciółmi, więc niech każde pozostanie przy swoim zdaniu. Lepiej powiedz, o czym jeszcze chciałaś porozmawiać. Możemy mówić o wszystkim.

- Na pewno?

- Na pewno. Żadnych tabu.

- Wobec tego chciałabym, żebyś mi opowiedział o tych dwóch kobietach, które kochałeś. - Spojrzawszy na niego, zobaczyła, że jego twarz przybrała kamienny wyraz. - Jak nie chcesz, to nie - dodała pośpiesznie. - Nie chciałabym być... niedelikatna.

- Nigdy dotychczas z nikim o tym nie rozmawiałem. To znaczy, tak naprawdę, szczerze z głębi serca... Nie wiem, czy mnie na to stać.

- Rozmowa o tym mogłaby ci pomóc. Zalecenie sesji terapeutycznych dotyczy nie tylko mnie.

- Niełatwo się poddajesz - odrzekł ze słabym uśmiechem.

- A ty? Rozmawiasz z kimś o mnie?

- W pewnym stopniu, tak. Najczęściej z Megan, chociaż bardzo się od siebie różnimy. Ona cię polubiła.

- Założę się, że to nie wszystko.

- Rzeczywiście. Twierdzi też, że coś ukrywasz i że możesz mnie zranić, choćby mimowolnie...

- Ty też tak sądzisz?

- Myślę, że nie można tego wykluczyć - odparła szczerze.

- Jest w tobie jakiś... dziwny mrok. Jednak tamtego wieczoru, kiedy prawie się z tobą... Okropnie się wtedy zdenerwowałam. Za to potem... wzbudziłeś we mnie podziw. Właśnie dlatego, że umiałeś się powstrzymać...

- Nie był to najwspanialszy wieczór mojego życia...

Zwolnił i zahamował. Zatrzymali się przy niedużym zagajniku. Pośród drzew stały drewniane stoły i ławy. Wysiedli z samochodu i przeciągnęli się.

- Odpocznijmy tutaj - zaproponował, kierując się ku upatrzonemu, zacisznemu miejscu.

Usiedli naprzeciwko siebie. Wyciągnął ręce przez stół i ujął jej dłonie.

- Erin, a potem Hilary... - zaczął. - Ja i Erin byliśmy z sobą tak długo, że nawet nie zauważyliśmy, co się dzieje. Miłość dojrzewała w nas stopniowo, powoli. Oboje byliśmy przecież zajęci studiami, a potem pracą. Wydawało nam się, że świat stoi przed nami otworem. Nasza miłość była naturalną częścią wszystkiego, co robiliśmy. A tu nagle Erin umarła... Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy wstajesz dzień po dniu, spodziewając się zobaczyć twarz ukochanej, i na próżno szukasz jej głowy na poduszce. Masz wrażenie, że to tylko zły sen, ale gdy się budzisz, okazuje się, że to rzeczywistość...

Choć mówił cicho i spokojnie, ciarki przeszły ją po plecach.

- A Hilary?

- Była nieco starsza ode mnie, i w poprzednim związku została bardzo zraniona. Oboje byliśmy nieufni i ostrożni, ale zrodziło się między nami uczucie. Zacząłem wierzyć, że znów mogę być szczęśliwy. I z czasem szczęście rzeczywiście do nas przyszło. Cieszyliśmy się nim dzień po dniu, niczego nie planując. - Odchrząknął. - Pamiętam, jak raz, odbierając poród, rozmawiałem z pewną młodą matką. To było jej drugie dziecko, zaplanowane. Pierwsze miało się dobrze i bardzo je kochała, ale powiedziała mi wtedy, że przy drugim porodzie wraca do niej cały ból pierwszego, wspomnienie radości, ale i wielkiego cierpienia... Ja sam właśnie tak się czułem, kiedy Hilary zginęła. Już myślałem, że zdołałem uleczyć swój ból po stracie, jednak ze śmiercią Hilary powrócił ze zdwojoną siłą. I z niego nie narodziło się żadne dziecko...

- Jak sobie z tym poradziłeś? Jak udało ci się... przetrwać?

- Nie było to łatwe. Dużo wtedy biegałem, nawet dwa razy dziennie. No i zatraciłem się w pracy. Bieganie do dziś pomaga mi uporać się ze stresem.

Delyth na próżno próbowała wyobrazić sobie, co musiał wtedy czuć. Ogarnęło ją głębokie współczucie dla niego. Czemu musiał przejść przez taką udramę? Potem odezwała się w niej frustracja, bunt przeciwko tej sytuacji i wszystkiemu, co spowodowała. James się myli - nie musi tak dalej być!



- Więc już nigdy nikogo nie pokochasz? - spytała.

Tym razem nie odpowiedział od razu. Z wyrazem wahania na twarzy zmarszczył brwi, tak jakby słyszał te słowa po raz pierwszy i chciał upewnić i siebie, i ją.

- Po co mi to, Delyth? Żyje mi się dobrze. Mam satysfakcjonującą pracę i od czasu do czasu poznaję jakąś dziewczynę, która lubi moje towarzystwo, nie oczekując ode mnie zobowiązań. Ani nikogo nie ranię, ani sam nie narażam się na ból. To chyba uczciwy układ, nie uważasz?

- Jeśli daje ci to szczęście... Kogo chcesz przekonać, mnie czy siebie?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Bystra jesteś, za bystra. - Poglądził ją po policzku. - Ale powiem ci, że gdybym kiedykolwiek jeszcze był zainteresowany stałym związkiem, to tylko z kimś takim jak ty.

- To chyba niezły początek...

Nie miał zielonego pojęcia, jak bardzo ją tymi słowami uszczęśliwił!

## ***ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY***

Postanowili nie zatrzymywać się w hotelu. Zadzwonili jedynie stamtąd do swych przyszłych gospodarzy, by powiadomić ich, że przyjadą późno. Kiedy przejeżdżali przez Bordeaux, Delyth zdrzemnęła się na rozłożonym siedzeniu. Gdy się obudziła, padał deszcz.

- Od razu widać, że jesteśmy w Akwitaniu - zauważył James, zwalniając na wilgotnej nawierzchni.

Jakiś czas później zjechali z autostrady i minawszy sporą osadę, wjechali w kompletne ciemności. Tylko w dali przed nimi, na wzgórzach, migotały tu i ówdzie światła. Skręcili w lewo i znaleźli się na wąskiej drodze. Tu James zatrzymał samochód i w świetle latarki zerknął na mapę. Dziesięć minut później wjechali na wysypany żwirem podjazd.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił.

Dopiero teraz Delyth poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Na miękkich nogach wysiadła z auta, po czym, podtrzymywana przez czyjąś niewidzialną rękę, znalazła się w pomieszczeniu, które nazywano stodołą. Było ono przestronne i staromodnie umeblowane; pod sufitem widać było grube belki pamiętające dawne czasy.

Usiadła przy dużym stole naprzeciwko Jamesa, obok Val i Toma - pani i pana domu; Tom był bardzo podobny do swego brata, Michaela Forrester. Po krótkim powitaniu gości poczęstowano kanapkami i kakao.

Tom od razu zatroszczył się o bagaż Delyth i zaprowadził ją do przytulnej sypialni, mającej obok łazienkę. Delyth, mimo zmęczenia, błyskawicznie przygotowała się do snu i po niecałym kwadransie leżała już w wygodnym podwójnym łóżku. Zasnęła w jednej chwili.

Nazajutrz obudziła się wypoczęta i podekscytowana. Z radością uprzytomniła sobie, że wiele następnych dni spędzi w towarzystwie Jamesa, mieszkając z nim pod jednym dachem.

Tu było cieplej niż w Anglii. Słońce prześwitywało przez zasłony w czerwonej kratkę i zalewało pokój przez duże szklane drzwi wychodzące na taras. Otwarta torba Delyth wciąż stała na wysokim taborecie, który, podobnie jak reszta umeblowania, wykonany był z sosnowego drewna.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi i w progu ukazała się mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka, trzymająca w ręce dymiący kubek.

- Francuzi piją kawę na śniadanie - zwróciła się do Delyth, zarazem bacznie się jej przyglądając - tata jednak mówi, że to „barbarzyństwo” i że na pewno wolisz herbatę.

- Tata ma rację. Mnie na imię Delyth. A tobie?

- Ale masz śmieszne imię... Ja jestem Ruth. Jeśli chcesz, możesz włożyć szlafrok i wypić herbatę na tarasie. Wszyscy już tam są.

Włożywszy szlafrok, Delyth wyszła na dwór, gdzie natychmiast ogrzały ją promienie słońca. Usłyszała głosy dochodzące z prawej strony i tam też skierowała swe kroki.

Na tarasie stały ogrodowe meble z pomalowanego na biało metalu; zaraz za tarasem rozciągał się spory basen z niewiarygodnie błękitną wodą. Otoczenie ozdabiały niezliczone doniczki z fuksjami i geranium.

Przy okrągłym stoliku Delyth ujrzała Jamesa, Val z Tomem i dwóch mężczyzn w średnim wieku, którzy na jej widok podnieśli się z krzeseł, by się przywitać. Byli to Alan i Claude, akwareliści, którzy przyjechali tutaj na wakacje.

- Przyjeżdżamy tu co roku od pięciu lat - powiedział z miłym uśmiechem Claude. - Gdybym tylko mógł, chętnie osiedliłbym się tu na stałe.

Z rozmowy Delyth dowiedziała się też o istnieniu jeszcze jednego gościa - niejakiej Marie Brown, pięćdziesięcioletniej starej panny, która co dzień wstawiała o świcie i wypuszczała się na długi samotny spacer.

Po herbacie Delyth nabrała ochoty na chrupiące rogaliki i mocną kawę.

- To lepszy stymulant serca niż adrenalina - zwróciła się do Jamesa.

- Kawa dobrze ci zrobi. A serce masz na szczęście jak dzwon. Jak ci się spało?

- Cudownie. - Rozejrzała się wokół, po otaczających ich wzgórzach i polach. - Ależ tu pięknie, jak w raju. Chciałabym się wybrać na spacer i sprawdzić, co jest za tymi wzgórzami. Spójrz, tam na szczycie widać jakąś wioskę.

Uśmiechnął się, widząc jej entuzjazm.

- Też miałbym ochotę się przejść. W moim czasie wolnym od pracy razem się tam wybierzemy, ale na razie muszę pędzić do szpitala. Do zobaczenia wieczorem. - Lekko uściśnął jej ramię.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na to, że James ma na sobie elegancki sweter i białą koszulę z krawatem; o jego krzesło oparta była aktówka. Dobry Boże, całkiem zapomniałam, że on przyjechał tu do pracy, pomyślała.

- Do zobaczenia - odparła z niejakim smutkiem; żałowała, że nie może z nią zostać.

Musiał chyba dostrzec jej rozczarowanie.

- Jeśli zechcesz, Val i Tom oprowadzą cię po okolicy - dodał szybko. - Ale pamiętaj, że potrzebujesz odpoczynku. Musisz wreszcie nabrać sił.

- Ja z przyjemnością oprowadzę Delyth - zaofiarowała się od razu mała Ruth.

- Będzie zachwycona - rzucił James i odszedł w stronę samochodu.

Val przysunęła się do Delyth.

- Jesteś tu na rekonwalescencji - przypomniała. - Wykorzystaj ten czas na relaks i nie zmuszaj się do wysiłku. Słyszałam, przez co przeszłaś. Wypij jeszcze jedną kawę, a potem pokażę ci dom. Możesz się też poopalać. Pożyczę ci krem z filtrem i słomkowy kapelusz.

- Dziękuję, bardzo chętnie. Już nie pamiętam, kiedy się ostatnio opalałam.

Domostwo bardzo się Delyth spodobało. Składało się z „prawdziwego” domu, w którym mieszkali Val, Tom i Ruth, oraz z zaadaptowanej stodoły przeznaczonej dla gości. W sumie było tu pięć sypialni i pięć łazienek oraz duża kuchnia i jadalnia na parterze.

- Chcemy, żeby goście czuli się tu jak u siebie - podkreśliła Val. - W kuchni zawsze są pod ręką owoce, chleb, wino. Zawsze też można tam sobie zaparzyć kawę lub herbatę. Na śniadanie i lunch każdy podjada to, na co ma ochotę, za to wieczorem wszyscy wspólnie jemy kolację. Przyjmujemy gości od sześciu lat i większość z nich to starzy bywalcy. No i zawsze mamy zarezerwowane miejsca dla lekarzy i studentów medycyny.

Gdy rozmawiały, Ruth nie odstępowała ich na krok, co rusz zwracając uwagę Delyth na różne drobiazgi, których ta by sama nie zauważyła. W pewnej chwili mała figlarnie na nią zerknęła.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Naturalnie.

- Czy doktor Owen to twój chłopak?

- No wiesz, Ruth, nie zadaje się takich pytań - ofuknęła córeczkę Val.

- Przecież i tak widać, że on ją lubi. I myślę, że pocałowałby ją na pożegnanie, gdyby wszyscy na nich nie patrzyli. Więc tylko uścisnął jej ramię...

- Dosyć, Ruth!

- Nic nie szkodzi, Val, daj jej spokój. Widzisz, Ruth, on jest moim szefem, a nie chłopakiem. Choć przyznaję, że bardzo go lubię.

- Założę się, że wolałby być twoim chłopakiem...

- Ruth, natychmiast przestań wygadywać głupstwa! I przeproś Delyth.

- Ależ nie ma za co przepraszać. Prawdę mówiąc, rzeczywiście jesteśmy dobrymi przyjaciółmi...

Val spojrzała na nią z ukosa, trochę zdziwiona.

Delyth przez cały dzień leniuchowała - czytała, wylegiwała się przy basenie. Dopiero gdy spróbowała popływać, przekonała się, jak bardzo jest osłabiona. W towarzystwie Val i Toma zjadła na lunch pyszną sałatkę i owoce, a następnie zdrzemnęła się w cieniu na leżaku.

Ruth szczególnie ją sobie upodobała i niemal przez cały czas dotrzymywała jej towarzystwa, w każdej chwili gotowa pobiec po owoce lub coś do picia. Miała tylko jedną prośbę: by Delyth opowiedziała jej, jak zostać lekarzem.

James wrócił wcześniej, niż się spodziewano.

- Jak minął dzień? - spytała Delyth, wyraźnie uradowana jego widokiem.

- Nie narzekam. To naprawdę uroczy szpitalik. Ale teraz mam ochotę popływać. Woda w tym basenie wygląda cudownie. Tak jak i ty...

Była ubrana w obcisłe szorty i krótką bawełnianą koszulkę. Zarumieniła się, gdy prześliznął się wzrokiem po jej długich, smukłych nogach.

Poszedł do pokoju się przebrać i po chwili wrócił stamtąd ubrany tylko w spodenki kąpielowe. Zrzucił ręcznik z ramion i zanurkował - pewnie, zwinnie, z gracją. Przepłynąwszy dziesięć długości basenu, wyszedł z wody i wycierając się, usiadł obok Delyth. Oczywiście, widziała go już nagiego, wtedy gdy... Nie, nie ma mowy, nie będzie o tym myśleć!

Potrząsnął mokrymi włosami i kilka kropeł spadło Delyth na ramiona. Przeszył ją miły dreszczyk. Uspokój się, dziewczyno, zganiła siebie w duchu.

- A tobie jak minął dzień? - zapytał.

- Cudownie. Cały czas wypoczywałam. Nawet się wykapałam, ale przepłynęłam zaledwie dwie długości.

- Bo jeszcze nie wyzdrowiałaś i nie wolno ci się przemęczać. Proponuję, żebyśmy od razu zaczęli ten program ćwiczeń, o którym ci...

- Wiem, wiem - przerwała mu, unosząc dłonie w geście protestu. - Obiecuję nie przemęczać się i wykonywać wszystkie ćwiczenia wzmacniające, pod warunkiem, że nie będziesz mi o tym w kółko przypominał.

- No i proszę, jak to się kończy, gdy kobieta zostaje lekarzem... To powinien być wyłącznie męski zawód.

- Ja też chcę być lekarzem - rozległ się zagniewany głosik - a przecież jestem kobietą.

- Widzisz, nie jestem odosobniona - stwierdziła triumfalnie Delyth, z uśmiechem przytulając Ruth.

- W takim razie najmocniej przepraszam obydwie panie...

Wieczorem wszyscy zebrali się przy wielkim dębowym stole. Ze spaceru wróciła już także Marie Brown - i to z naręczem dzikich kwiatów. Delyth siedziała pomiędzy nią a Ruth, naprzeciwko Jamesa. Po paru minutach rozmowy zorientowała się, że Marie świetnie zna się na leczniczym zastosowaniu ziół, i dowiedziała się od niej ciekawych rzeczy na ten temat.

Sam posiłek był wspaniały: po zimnych przekąskach zjedli schab w sosie śliwkowym z duszonymi jarzynami, suto zakrapiany winem, a na deser - krem karmelowy.

Po kolacji Ruth położyła się do łóżka, dorośli zaś wypili kawę i po kieliszku złocistej brandy.

- Muszę kupić ze dwie butelki - powiedziała Delyth. - Dla rodziny i dla doktora Roberts'a. A ty, James?

Nie do końca zrozumiała jego odpowiedź.

- Owszem, ja również. Dla pewnego młodego lekarza, którego szczerze podziwiam...

Następnego dnia James zjawił się jeszcze wcześniej niż poprzednio, bo zaraz po lunchu. Delyth usadowiła się obok niego w samochodzie i wspólnie wyruszyli na zwiedzanie okolicy.

Spacerowali piaszczystym brzegiem rzeki, zajrzeli do starego kościółka w wiosce na szczycie wzgórza, wypili piwo w kafejce przy rynku, na którym stała mała fontanna. Cieszyli się błękitnym niebem, ciepłym południowym słońcem, świeżym wiejskim powietrzem.

- Jesteś jakaś zamyślona - odezwał się w pewnej chwili James. - Powiesz mi, o czym tak rozmyślasz?

Odpowiedziała bez zastanowienia i całkiem szczerze:

- Pomyślałam sobie właśnie, że nawet jeśli już nigdy w życiu nie będę szczęśliwsza niż teraz, to i tak uznam moje życie za bardzo udane.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Czy ja się przyczyniam do tego szczęścia? - Skinęła głową. - To wymaga poważnej odpowiedzi. Nie wiem, czy w tej chwili jestem w stanie ci jej udzielić.

- Mógłbyś spróbować... Zmarszczył brwi.

- Wiesz, że to oznacza wrócenie myślą do tego, co czułem do Erin i Hilary...

- Wybacz, James, nie pomyślałam o tym. Nie chciałam...

- Przeszłość jest nieuchronnie częścią teraźniejszości, nie powinna jej jednak przesłaniać. Jesteś dla mnie taka dobra... Ale zrozum, dwukrotnie zaznałem szczęścia i w obu przypadkach je straciłem... Od tamtej pory postanowiłem, że więcej się na to nie narażę. Mówiłem ci, szukam przyjaciół, przygód miłosnych, satysfakcji w pracy, nie wiem jednak, czy dałbym radę...

Położyła mu palec na ustach.

- Ciii... Jesteśmy razem, w ślicznym miejscu, i w dodatku jest śliczna pogoda. To na razie wystarczy. Czuję się szczęśliwa i myślę, że ty czujesz się podobnie. Po prostu cieszymy się sobą i życiem. Zaczynaj od pocałowania mnie.

Gdy to zrobił, nabrała pewności, że tym razem się nie myliła - trzeba chwytać każdy moment szczęścia, korzystać z tego, co jest nam dane...

Pojechali do jeszcze jednej osady na wzgórzu i przeszli przez nią, trzymając się za ręce. W bocznej uliczce natrafili na sklep z pamiątkami i starzyzną. Jamesowi wpadł w oko żelazny odlew męskiej twarzy. Wziął go do ręki i pokazał jej.

- Kupię to dla Megan - powiedział.

- Tak, jej się to spodoba. Widzę, że zdążyłeś już poznać jej gust. Ale niby z jakiej racji miałbyś jej coś kupować?

- Z takiej, że ją lubię.

- Mimo że mnie przed tobą ostrzegła?

- Zrobiła to, bo cię kocha. A za to mogę ją tylko jeszcze bardziej lubić.

Wyszli ze sklepu i podążali przed siebie w przyjaznym milczeniu.

- Czy jako lekarz uważasz, że jestem całkiem zdrowa? - spytała ni stąd, ni zowąd. - Mam na myśli mój stan psychiczny i umysłowy.

- Tak, ale czemu...

- Pamiętasz, jak tamtego wieczoru zrezygnowałeś z kochania się ze mną, po części dlatego, że jestem dziewczyną?

- Oczywiście, że pamiętam. To było dla mnie bardzo trudne.



- Dziś po kolacji wcześniej pójde do siebie. Twój pokój jest tuż obok mojego. Kiedy wszyscy położą się spać, przyjde do ciebie. To moja świadoma decyzja, tego właśnie chcę. Nie wywierałeś na mnie żadnej presji, więc niczego sobie nie wyrzucaj. Nadal mnie pragniesz, prawda?

- Czy cię pragnę? Ależ Delyth, jak możesz w to wątpić...

- Jeśli zmienisz zdanie, po prostu zamknij drzwi.

Przystanęli, żeby nacieszyć oczy widokiem roztaczającej się u ich stóp doliny. Delyth sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej trzy małe paczuszki w srebrzystym opakowaniu.

- Kupiłam je na promie. Z myślą o nas. Weź je. Na chwilę oboje zastygli w bezruchu jak posągi.

- Czemu zmieniłaś zdanie? - spytał wreszcie.

- Kiedy byłam w tej piwnicy, bałam się, że mogą mnie zabić. Myślałam o tym wszystkim, czego w życiu dokonałam, i o tym, czego nie zdążyłam zrobić. Kochanie się z tobą było jedną z tych rzeczy. Od tamtej pory dużo o tym myślałam. I teraz już wiem, czego chcę.

Ruszyli w drogę powrotną. Na kilometr przed domem położyła mu rękę na ramieniu.

- Czy możemy się tu na moment zatrzymać? Zahamował przy skraju trawnika i spojrzał na nią pytająco.

Musnęła wargami jego usta.

- Chcę, żebyś wiedział, że to, do czego wówczas doszło, było... zachwycające. Mam nadzieję, że dziś w nocy, gdy do ciebie przyjde, będzie równie pięknie. Proszę cię tylko o jedno: żebyś powiedział, że chcesz, żebym przyszła.

- I to jak, Delyth... - Przytulił ją do siebie. - Ale może to raczej ja przyjde do ciebie?

- Nie. Już postanowiłam.

Wieczorem byli w dobrym humorze i z przyjemnością zjedli pyszną kolację w miłym towarzystwie.

Po posiłku Ruth położono do łóżka, dorośli zaś zabawili jeszcze trochę w jadalni, opowiadając sobie dowcipy. Około jedenastej wszyscy zaczęli szykować się do snu.

Delyth włożyła nocną koszulę i w ciemności oczekiwała, aż ucichną odgłosy krzątania. Następnie na palcach wyszła ze swojej sypialni i nacisnęła klamkę u drzwi do pokoju Jamesa. Były otwarte.

Siedział na łóżku nagi. W świetle księżycy dostrzegła jego połyskujące ramiona i uda. Zsunęła powoli ramiączka koszuli, która bezgłośnie opadła na podłogę. Przybliżyła się do niego o krok.

- Czekałam na to - powiedziała z uśmiechem. Wstał i delikatnie ją przytulił.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? Bo wiesz, z mojej strony nic się nie zmieniło, więc jeśli myślisz, że...

Przywarła do niego mocno, całym ciałem.

- Ciii, nic więcej nie mów. Wiem, czego chcę... czego oboje chcemy.

Objął ją w talii i pocałował - najpierw lekko, potem namiętniej. Przez chwilę stali spleceni w uścisku, oboje niecierpliwi z podniecenia.

- Spokojnie, mamy mnóstwo czasu - szepnął.

Wziął ją na ręce i położył na łóżku. Mimochodem zauważyła, że jest podwójne.

- Jesteś piękna - zamruczał - taka piękna...

Delikatnie głaskał ją po szyi, piersiach, brzuchu... Powiódł palcem po cienkiej linii puchu, łączącej pępek z kędzierzawym trójkątem.

- Nie martw się, nie musimy się śpieszyć - szepnął uspokajająco.

Leżała posłusznie, delektując się jego pieszczotami, poddając im się bez protestu, aż jej ciało cudownie się odprężyło pod wpływem jego dotyku.

Odczuwała przyjemność, ciepło, rosnącą ekscytację... Nie chcąc być samolubna,

ostrożnie wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku, karku, ramionach, po czym zebrała się na odwagę i ujęła w dłoń jego męskość.

- Chyba cię nie boli? - zaniepokoiła się, gdy jęknął.

- Nie, kochanie, nie boli - odparł zmienionym, ale i nieco rozbawionym głosem. - Prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie...

Nachylił ku niej twarz, żeby ją pocałować. Instynktownie objęła go w pasie i mocno przyciągnęła do siebie. Jak słodkim ciężarem było jego spoczywające na niej ciało! Czując, że jest gotowa, rozsunęła nogi.

- Och, moja kochana - westchnął, i przez sekundę czuła ukłucie bólu.

Teraz oboje poruszali się w tym samym tempie, które rosło z każdą chwilą. W końcu jednocześnie sięgnęli szczytu i westchnęli z rozkoszy. Nie przejmowała się tym, co inni mogą sobie pomyśleć - została u niego na całą noc. Obudzili się wcześniej i znowu się kochali. Potem długo leżeli wtuleni w siebie, cudownie zmęczeni, szczęśliwi.

- Zrobimy to jeszcze kiedyś? - spytał.

- Nie myśl, że teraz pozwolę ci odejść - odparła z uśmiechem. - Będziemy to robić co noc, tutaj, a także kiedy wrócimy do Londynu.

Poczuła, że mięśnie mu tężeją.

- Kiedyś mogę wyjechać z Londynu... Cmoknęła go w usta.

- Wiem, co chcesz przez to powiedzieć: że to tylko przelotny związek, mimo że dobrze ci ze mną. Bo ty lubisz podróżować z jak najlżejszym bagażem. A mogą ci zaproponować pracę w Ameryce. I jeśli tak się stanie, to przyjmiesz tę ofertę i zostawisz mnie, prawda?

- Nie ująłbym tego tak brutalnie, ale... tak, zrobię coś w tym rodzaju.

- Nie martw się, biorę to pod uwagę. Usiadł na łóżku i pogłaskał ją po włosach.

- I nie przeszkadza ci to?

- Byłoby mi przykro, gdybyś wyjechał, czułabym się jednak jeszcze gorzej, gdybym wiedziała, że masz z tego powodu poczucie winy.

- Sam nie wiem, co myśleć, Delyth... Nie chciałbym, żebyś się oszukiwała, ani też nie chciałbym cię wykorzystywać.

Ona również usiadła i objęła go.

- Posłuchaj, powiem ci to jasno i wyraźnie: jeśli wyjedziesz, będę szczęśliwa, że ci się powiodło; jeśli zostaniesz ze mną, będę tak samo szczęśliwa. Czy to cię uspokaja?

- W pewnym sensie... Bo wiem, że mówisz to szczerze. Ale nie rozumiem tego.

- Nie musisz, wystarczy, że ja to rozumiem. - Zerknęła na budzik, który stał na nocnym stoliku. - Zbierajmy się, czas wstawać. Zmykaj do łazienki.

Włożył szlafrok, pocałował ją czule w policzek i wyszedł szybko z pokoju.

Splótłszy dłonie z tyłu głowy, położyła się na plecach. Kto wie, co może przynieść przyszłość? - pomyślała; lepiej jednak być z Jamesem chociaż trochę niż nie być z nim wcale.

Uznał, że może sobie pozwolić na trochę późniejsze pójście do szpitala. Zamiast wejść pod prysznic, wyciągnął z bagażnika swój strój sportowy i przez drzwi sypialni krzyknął do Delyth, że zamierza pobiegać.

- Skąd ta nagła zmiana planów? - zawołała ze zdziwieniem, ale jej nie odpowiedział; sam nie bardzo to rozumiał.

Wysiłek fizyczny natychmiast go zrelaksował - biegł dosyć szybko, ale spokojnie, miarowo. Wreszcie mógł się nad wszystkim zastanowić.

Dwa razy w życiu utracił miłość i postanowił, że już nigdy nie złoży swego szczęścia w ręce jednej kobiety. Nie miał siły więcej ryzykować bólu. Czerpał zadowolenie z pracy i miewał przelotne romanse. Nauczył się nie angażować i nie oczekiwać zbyt wiele. Ale teraz Delyth ofiarowała mu tak dużo... Wiedział już, że nie może ot, tak po prostu zniknąć z jej życia. Zależało mu na niej, była mu coraz bliższa, coraz bardziej niezbędna. Chyba naprawdę był w niej... zakochany.

Cóż jednak miało z tego wyniknąć? Nie był w stanie z dnia na dzień całkowicie zmienić sposobu życia. A Delyth chyba jednak trochę się oszukiwała - nie chciała przygody, chciała trwałego związku. Zasługiwała na miłość i pełne oddanie. Czy mógłby - czy chciałby - jej to ofiarować?

Nie potrafił na to odpowiedzieć.

## ***ROZDZIAŁ DZIESIĄTY***

Delyth nie wypytywała więcej Jamesa, czemu poszedł pobiegać. Gdy wrócił, zjedli razem śniadanie, po czym pożegnali się i pojechali.

Na dworze zrobiło się jakoś duszno i gorąco. Popijając schłodzony sok, usiadła na leżaku i zapatrzyła się na piękny krajobraz. Wszystko, co powiedziała Jamesowi, było prawdą - rzeczywiście liczyła się z tym, że może on wyjechać do Ameryki. Jednak w głębi duszy wierzyła, że tak się nie stanie - że nie będzie chciał wyjechać. Nie miała już żadnych wątpliwości, że jest w nim bardzo zakochana. I właśnie dlatego zdecydowała się z nim kochać. Nawet gdyby kiedyś mieli się rozstać, przynajmniej będzie miała piękne wspomnienia.

Gdy tak siedziała, rozmyślając, podeszła do niej Ruth, aby się pożegnać. Mała wyjeżdżała na parę dni do przyjaciół z jednej z osad położonych w dolinie.

- Dokąd jedziesz? - spytała Delyth.

- Do St Martin. Tam jest naprawdę ślicznie.

- Przyjaźni się tam ze wszystkimi - dodała krzątająca się w pobliżu Val.

Gdy Val i Tom odjechali z Ruth, Delyth próbowała zjeść lunch, popływać, poczytać. Jednak powietrze było tak duszne, że w końcu usiadła na werandzie, by wypić mocną kawę w towarzystwie Alana i Claude'a.

I wtedy nareszcie spadł deszcz - gęsty, ulewny, rześisty.

- Dobrze, że nasz dom leży na wzgórzu - stwierdził Alan. - W dolinach może być powódź.

James późno wrócił ze szpitala.

- Ten deszcz po kilku dniach upału sprawił, że drogi są bardzo zdradliwe. Było mnóstwo wypadków.

Delyth poszła za nim do jego pokoju. Gdy zdjął przemoczone ubranie, przytuliła się do niego.

- Nie mogę się doczekać, kiedy będziemy w łóżku... Wiem, że jesteśmy we Francji, ale nie chcę się czuć tak, jakbym brała udział w jakiejś starofrancuskiej farsie. To idiotyczne, tak się zakradać z sypialni do sypialni. Chcę wprowadzić się do ciebie.

- Tu chodzi o twoją opinię, nie o moją - odparł, uśmiechając się czule. - Wiesz, że o niczym innym nie marzę.

- No to chodźmy po moje walizki.

Gdy wrócili Val i Tom, wszyscy zebrali się na werandzie, gdzie James opowiadał o przeprowadzonych w ciągu dnia operacjach. Po wspólnym posiłku Tom obejrzał dom, sprawdzając, czy dach nie przecieka.

Następnego dnia w porze lunchu nadal padało. Delyth zaczęła odczuwać przygnębienie.

- Tu potrafi padać i przez tydzień - wyjaśniła jej Val. - Władze zadbały o dobre zabezpieczenie przeciwpowodziowe, ale nigdy nic nie wiadomo...

Pod wieczór zadzwonił do nich James, by uprzedzić, że chyba wróci bardzo późno. I faktycznie, zjawił się dopiero wpół do jedenastej.

- Brakuje nam lekarzy - zwrócił się do Delyth. - Powiedz mi szczerze: jak się czujesz?

- Wystarczająco dobrze. Chętnie wam pomogę. Nie będzie żadnych przeszkód prawnych?

- Nie. W takich wyjątkowych okolicznościach jak te Francuzi umieją zrezygnować z uciążliwej biurokracji.

Nazajutrz od rana pomagała Jamesowi. Chciała zostać do wieczora, ale już o piątej odesłał ją do domu.

- Nie wolno ci się przemęczać. Dziś już odpocznij, a jutro możesz znowu przyjść.

Następnego dnia dołączył do nich przemiły francuski chirurg ortopeda. W sali operacyjnej byli odgradzeni od świata, ale gdy tylko wyszli na zewnątrz, okazało się, że deszcz nieprzerwanie pada, co teraz już na wszystkich działało przygnębiająco.

Wieczorem zadzwonił telefon. Gdy Tom go odebrał, okazało się, że powódź zbiera żniwo i potrzebni są wszyscy lekarze i pielęgniarki, jakich uda się zebrać - do działania w warunkach klęski żywiołowej, najlepiej na całą noc.

Pół godziny później na podwórze wjechała ogromna ciężarówka o wielkich kołach; z tyłu, w budzie, siedzieli mężczyźni w kaskach ubrani w nieprzemakalne płócienne kombinezony i wyposażeni w drabinę, widły, łopaty i inne narzędzia, które mogły się przydać w każdej akcji ratunkowej. James i Delyth dołączyli do nich.

Po mniej więcej czterdziestu pięciu minutach ciężarówka zatrzymała się. Mężczyźni rozbiegli się stosownie do rozkazów wydanych przez dowódcę, Delyth zaś poszła za Jamesem do jednego z dwóch wielkich namiotów rozstawionych nieopodal pośród drzew.

- To coś w rodzaju punktu pierwszej pomocy - oznajmił. - Stąd karetki zabiorą kogo trzeba do szpitala. Ale nie tylko rannymi się zajmiemy. Musimy zaopiekować się wszystkimi, którzy będą zmarznięci, przemoczeni, głodni, w szoku. Musimy ich nakarmić, dodać im otuchy i znaleźć miejsce do spania. Wówczas najprawdopodobniej przetrwają. W takich sytuacjach jak ta ludzie umierają często nie z powodu odniesionych obrażeń, ale dlatego, że nikt o nich odpowiednio nie zadbał.

- Co ci powiedzieli przez telefon?

- Że w pobliskiej dolinie jest wioska, a ponad nią dwie stare zapory.

Górna była przepełniona, co sprawiło, że dolna puściła, zalewając całą wioskę. Trzeba ewakuować wszystkich mieszkańców. Inżynierowie badają teraz górną

tamę. Obawiają się, że też wkrótce pęknie, a wówczas wioska zostanie dosłownie zrównana z ziemią.

Jakimś cudem znów od razu wiedziała.

- Jak się nazywa ta wioska? - spytała drżącym głosem.

- St Martin.

- Tam właśnie pojechała Ruth. James, ona gdzieś tam jest! Musimy ją znaleźć!

Dopóki mieli robotę, ani James, ani Delyth nie mogli rzucić wszystkiego i ruszyć na poszukiwanie Ruth - tym bardziej że było to zadaniem innej ekipy.

Delyth współpracowała z pielęgniarką imieniem Monique i doktorem Etienne - niezwykle energicznym francuskim lekarzem, który w dodatku mówił świetnie po angielsku.

Kiedy ruch w namiocie nieco zelżał, z ciemności wyłonił się James. Tak jak inni, ubrany był w kombinezon, wysokie buty i kask. Od stóp do głów był pokryty błotem, a na jego twarzy malowało się śmiertelne zmęczenie.

- Co z Ruth? - spytała od razu Delyth.

- Zaginęła. Nie masz tu teraz wiele do roboty, więc chciałbym, żebyś poszła ze mną. Mam zadanie... w sam raz dla ciebie.

Monique pocałowała ją ze łzami w oczach; doktor Etienne uściskał jej dłoń, dziękując za pomoc i wyrażając nadzieję, że spotkają się kiedyś w miłszych okolicznościach.

Wsiadła z Jamesem do jeepa.

- Pytamy wszystkich, gdzie i z kim byli w chwili, gdy zaczęła się powódź. W ten sposób sprawdzamy, czy nikogo nie brakuje. Ale Ruth przyjechała tu do przyjaciół, i nie powiedziała, do kogo dokładnie, bo przyjaźni się ze wszystkimi. No i teraz nie wiemy, gdzie jej szukać...

- Dokąd jedziemy?

- Do St Martin.



Niedługo potem wysiedli z jeepa w pobliżu innych zaparkowanych tu pojazdów, i stanęli na krawędzi skały. Poniżej ujrzeni grupę ratowników przeszukujących niezwykle starannie to, co zostało z wioski. Podeszli do punktu dowodzenia i James zamienił parę słów z dowódcą. Mężczyzna ze smutkiem pokręcił głową i zastukał palcem w tarczę zegarka.

- Piętnaście minut - powiedział, patrząc na Delyth. - I ani sekundy dłużej.

- Inżynierowie wojskowi mówią, że górna tama może puścić w każdej chwili - wyjaśnił jej James. - Wszyscy ratownicy mają być tu z powrotem za kwadrans. Pozostawienie ich tam dłużej oznaczałoby narażenie ich życia. - Położył jej ręce na ramionach. - Tylko Ruth zaginęła. Nie można wykluczyć, że nie żyje, ale coś mi mówi, że żyje i że wciąż jest w wiosce.

- Coś ci mówi?

- Tak, właśnie tak. Chcę, żebyśmy tam zeszli i spróbowali ją znaleźć z pomocą... tej twojej siły.

Wszystkiego się spodziewała, ale nie tego.

- Ależ James, to nie przychodzi na zawołanie! Czasem nic się nie dzieje całymi miesiącami...

- Oczywiście. - Z rezygnacją wzruszył ramionami. - Wobec tego zostań tu i poczekaj na mnie w samochodzie.

- Nie, pójdę z tobą. Ale... nie licz na zbyt wiele.

Gdy dotarli do głównej ulicy, rozejrzała się wokół. Po lewej stronie zobaczyła to, co zostało z Cafe des Sports: wybite okna, nadkruszone kolumny, stoły i krzesła zmiecione pod ścianę i przewracane do góry nogami. Przeszył ją dreszcz, ale przewyciężyła strach i weszła do środka.

Zapomnij o wszystkim, powiedziała do siebie w duchu; o zmęczeniu, niewygodzie, zagrożeniu, głosach nawołujących się ratowników. Gdzie może być Ruth? Spróbowała oczyścić umysł i myśleć tak, jakby...

- Delyth, wyjdźmy stąd! - usłyszała.

James objął ją w pasie i niemal siłą wyniósł z budynku. Oboje upadli w błoto.

Rozległo się złowieszcze skrzywienie drewna i kilka głuchych tąpnięć. Odwróciła głowę i zobaczyła, że tam, gdzie przed chwilą stała, rąbnęła o podłogę ogromna belka z sufitu.

- Mogłaś... zginąć - wyjąkał z twarzą białą jak płótno. - I co ja bym wtedy...?

Podnieśli się z ziemi.

- Mamy mało czasu - wysapała. - Musimy znaleźć Ruth.

Nie umiała przywołać w sobie głosu intuicji ani wyzwolić wewnętrznej mocy. Idąc dalej ulicą, wyobraziła sobie, że jest małą dziewczynką. Zmarzniętą, przerażoną, przemoczoną do suchej nitki, może nawet ranną. Chyba nie krzyczała, prawda? A nawet jeśli, to nikt jej nie usłyszał...

Parę razy się zatrzymała, szklanym wzrokiem patrząc to na ten, to na inny budynek - lecz zaraz ruszała dalej. James podążał za nią, nie pozwalając sobie ani na myślenie, ani na nadzieję. W pewnej chwili przystanęła i lekko zachwiała się na nogach.

- Tam - powiedziała, wskazując stary budynek na brzegu rzeki, teraz do połowy zanurzony w wodzie. Tuż za nim znajdował się nieduży magazyn z drzwiami o wysokości zaledwie półtora metra.

James odwrócił się i przywołał czterech ratowników. Delyth patrzyła z szeroko otwartymi oczami, jak powoli, ostrożnie wyważają drzwi.

Jeden z mężczyzn zajrzał do magazynu, przyświecając sobie latarką. Gdy usłyszeli jego wołanie, James mocno przytulił Delyth do siebie. Teraz była już pewna, że tam w środku ktoś jest - ktoś, kto żyje i oddycha.

Do pierwszego ratownika dołączyło dwóch innych. Jeden z nich miał przy sobie radio, które nagle zatrzeszczało. Mężczyzna podniósł dłoń z pięcioma rozcapierzonymi palcami - zostało im pięć minut.

Wysoki ratownik, zgięty wpół, wycofał się wolno z magazynu. Gdy odwrócił się twarzą do nich, ujrzeni, że trzyma na rękach drobną, bezwładną postać w różowej sukience z zakrwawionym rękawem...

Gdy byli już w karetce, Ruth otworzyła oczy.

- Cześć, Delyth. To ty mnie znalazłaś. Wiedziałam, że mnie znajdziesz...

Delyth położyła Jamesowi głowę na piersi i rozplakała się.

Gdy obudziła się nazajutrz i spojrzała na budzik, przekonała się, że jest wpół do drugiej po południu. Musiała być tak wyczerpana, że spała jak zabita. Obok niej leżał James, wciąż pogrążony w głębokim śnie. Nagle uświadomiła sobie, że coś jest inaczej niż zwykle. Uderzyła ją dziwna cisza... Ależ tak - deszcz przestał padać!

Po cichu wstała z łóżka, włożyła szlafrok i poszła do kuchni. Zastała tam Alana i Claude'a.

- Po wydarzeniach wczorajszej nocy, a właściwie dzisiejszego rana, wszyscy jeszcze śpią. Dobrze się czujesz, Delyth?

- Teraz już tak, bo odpoczęłam.

- Może później o wszystkim nam opowiesz. Ale na razie usiądź, zrobię ci coś do picia. Wolisz kawę czy herbatę?

- Kawę, i to mocną. I jeśli można, dwa kubki.

Postawiła je na tacy i wróciła do sypialni. Zerknąwszy do lustra, uczesała włosy i z powrotem wśliznęła się do łóżka.

- Jaki wspaniały zapach. - James przetarł oczy. - Dla mnie też jest?

- Tak, ale musisz usiąść.

Gdy to zrobił, zobaczyła, że jest nie ogolony, zaspany i uroczo potargany.

- Wyglądasz jak nieszczęście, ale i tak cię kocham. - Cmoknęła go w policzek.

- Za to ty wyglądasz prześlicznie. - Odwzajemnił jej pocałunek.

- Wypij kawę, dobrze ci zrobi. Boże, jakie to szczęście, że Ruth nic się nie stało!

- Tak. Jest wprawdzie w szoku, ale ramię szybko się zagoi. Nie dolega jej nic poważnego, więc pewnie jutro ją wypiszą. Uratowałaś ją, Delyth...

- Pijże tę kawę! Pogadamy, jak oprzytomniejesz. W milczeniu pili pyszną, gorącą kawę.

- Musimy porozmawiać - odezwał się, gdy już trochę „oprzytomniał”. - Podobno w życiu nie można mieć wszystkiego... Myślę jednak, że ja mogę. Chcę cię o coś zapytać i proszę o szczerą odpowiedź. Powiedziałem ci, że stać mnie tylko na romans z tobą. Chciałem być wobec ciebie w porządku. Mimo to kochałaś się ze mną. Czy sądziłaś, że nie mówiłem tego serio?

- Sama nie wiem, James... Doszłam jednak do wniosku, że lepiej mieć trochę niż nie mieć nic.

- Więc nie zrobiłaś tego pod wpływem tego swojego słynnego głosu intuicji?

- Nie. Ale a propos intuicji... Tobie wczoraj też coś mówiło, że Ruth jest w pobliżu, prawda?

- No, może i tak. A może po prostu bardzo chciałem, żeby tam była... Właściwie jak ją znalazłaś?

- Wyobraziłam sobie, że jestem małą dziewczynką, i wczułam się w tę rolę. Myślałam o tym, gdzie sama bym się schowała. I raptem coś mnie tknęło.

- Więc nie były to żadne... paranormalne zdolności?

- Ależ były. I wiem, że w głębi duszy ty też tak uważasz.

- Hmm... - Twarz mu się nagle zasepiła. - Tyle się wczoraj wydarzyło. Czy zdajesz sobie sprawę, że o mało nie zginęłaś?

Zupełnie o tym zapomniała.

- Rzeczywiście, i jestem ci winna wdzięczność. Gdybyś mnie w porę nie wyciągnął... - Nagle ją olśniło. - Oczami wyobraźni ujrzałeś, jak zdarza się to jeszcze raz... Miałaś przeczucie, prawda? Najpierw Erin, potem Hilary, a teraz ja... Jak nazwała cię ta pielęgniarka? Już wiem, Anioł Śmierci...

- Ale ty żyjesz, Delyth... W tamtej chwili uświadomiłem sobie, że trzeba chwycić każde szczęście, jakie się nadarza. Byłbym głupcem, gdybym wypuścił z rąk taki skarb jak ty...

Powiedz no mi, siódma córko siódmej córki: jaką nam przepowiadzasz przyszłość?

- Do przewidzenia tego niepotrzebne są żadne nadprzyrodzone moce, bo wszystko zależy od nas. Ale zaryzykuję prognozę, że czeka nas nadzwyczaj udane życie rodzinne. Przeszedłeś już przez swoje piekło, i teraz należy ci się nagroda. A co do mojej własnej rodziny, to wiesz przecież, że bardzo im się spodobałeś.

- Nie tak szybko, Delyth - jęknął. - Zaczekaj, aż ci się oświadczę. A zatem: czy wyjdiesz za mnie?

- Oczywiście, że tak. Nikogo nie mogłabym pokochać bardziej niż ciebie, ani też nikt by mnie bardziej nie uszczęśliwił. No już, pocałuj mnie szybko. - Gdy to zrobił, spytała: - A co będzie, jeśli trafi nam się siedem córek?

- Nie mam nic przeciwko temu, pod warunkiem, że wszystkie będą podobne do ciebie...

